Mamy mistrza! Czas podsumowań

Wszystko o mundialu 2026. Sprawdź nasze serwisy: gol24.pl, sportowy24.pl

Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 20.07.2026
Nr 58 (2569)
Cena 6,00 zł
(w tym 8% VAT)

POLITYKA • STR. 4-6

Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki na rozstajnych drogach

Kaczyński apeluje o „łyk zimnej wody", Morawiecki mówi, że nie chce wychodzić z PiS. Ale napięcie między nimi rośnie

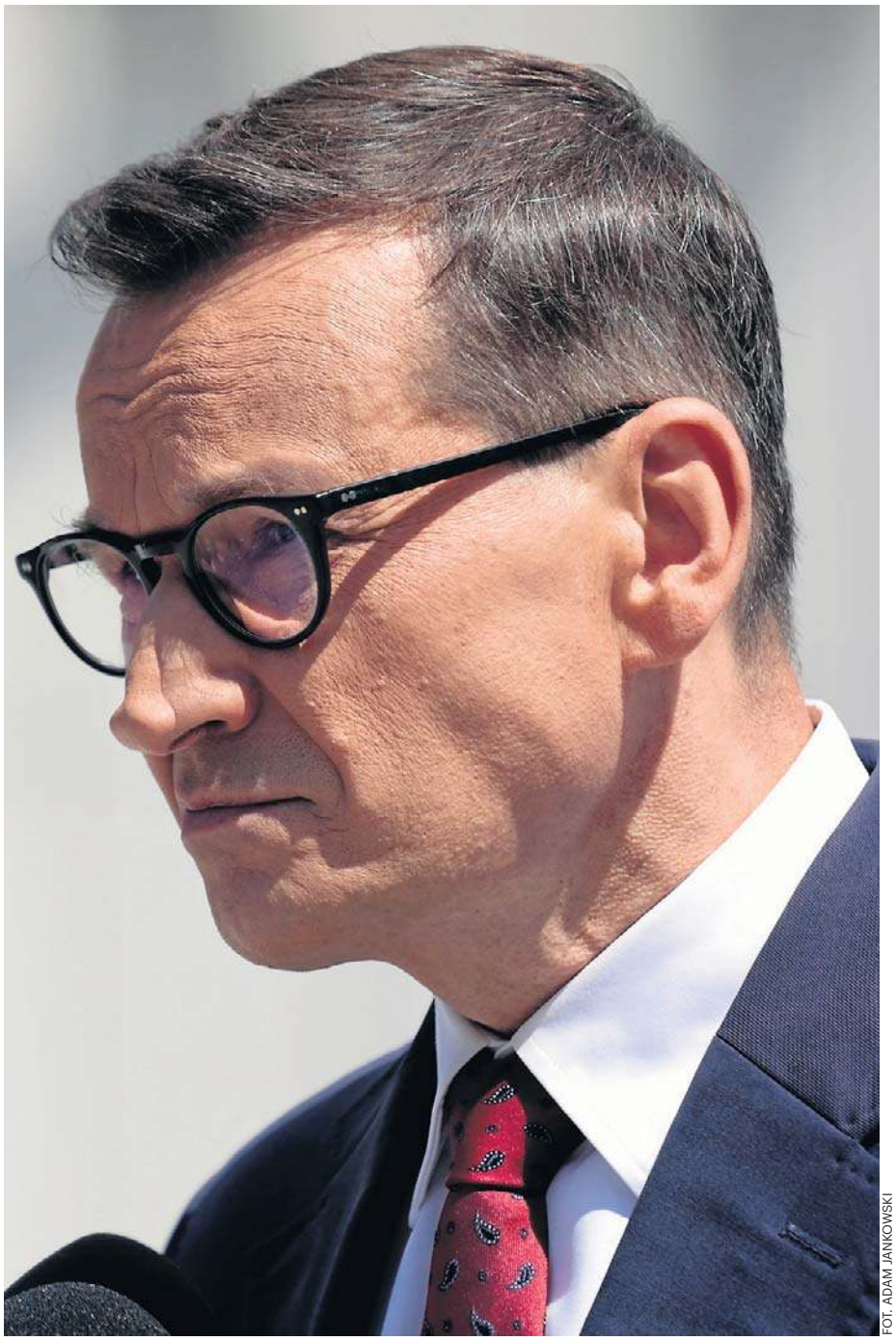

FOT. ADAM JANKOWSKI

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

DZIŚ SPECJALNY DODATEK

Mistrzowie motoryzacji

A w nim prezentujemy zwycięzców we wszystkich kategoriach

UKRAINA • STR. 7

Wołodymyr Zełenski poszedł o jednego ministra za daleko

KOŚCIÓŁ • STR. 18

Jak papież Paweł VI zdefiniował stosunek Kościoła do seksu

eprasa.pl 5a679bdc79

W KOLEJNYM WYDANIU „POLSKI”

PIĄTEK: Układ sił na prawicy po ultimatum w PiS. Podsumowanie Mistrzostw Świata

20.07.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Czesława, Małgorzaty, Hieronima
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Zenon Nowak
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Liliana Sonik
publicystka

Rymkiewicz i Goethe piszą o polityce

Wakacje i urlopy spowalniają codzienność. Wymarzony czas na lektury, gdy mamy pod ręką odpowiednie teksty. Chodzi mi o pasjonująco nakreśloną panoramę polskiego krajobrazu mentalnego ostatnich 40 lat. Autor - Wawrzyniec Rymkiewicz - opatrzył swą analizę prowokacyjnym tytułem: „Apologia Andrzeja Leppera. Esej o duszy III RP”. Druga pozycja będzie uzupełnieniem, komentarzem, a może wyjaśniającym tłem wobec Rymkiewicza, nawet jeśli te asocjacje będą miały wydźwięk nieco perwersyjny. Chodzi mi o klasyczny, zasłużony i niesłusznie zapomniany Johanna Wolfganga von Goethego „Reineke-Lis Poemat satyryczny w dwunastu pieśniach”.

O politykach nieaktywnych zapominamy natychmiast i bez żalu. Ale pamiętamy Leppera, choć nie żyje od 15 lat. Dlaczego? Rymkiewicz pisze o wielkiej przemianie polskich map mentalnych. Pisze o wyobrażeniach społecznych i archetypach politycznych. Żeby zrozumieć historię, trzeba sięgnąć do „snów i symboli, które spowijają ludzkie działania”. Nie spodziewajcie się Państwo jednak terapeutycznych banałów. Przeciwnie: dostajemy konkret i opis plastycznie kształtowanej rzeczywistości. Po roku 1989, wskutek presji turbokapitalizmu, ale również - co ważne - świadomych decyzji elit, Polska porzuciła mit „narodu inteligenckiego”. Zrezygnowaliśmy z inteligencji jako grupy wyznaczającej wspólny etos i społeczne ambicje. Opróżnione miejsce zajęło nowe mieszczaństwo. To była radykalna zmiana. Inteligent miał służyć wspólnocie - mieszczanin ma zarabiać pieniądze. Właśnie Lepper uosabia ludowy bunt przeciwko temu porządkowi. Najciekawsze, że za flagowe figury nowego mieszczaństwa Rymkiewicz uznaje Leszka Balcerowicza i Lecha Wałęsę. Zdziwieni? Zdziwień będzie więcej.

A co na mojej liście lektur na lato robi Goethe i jego „Lis Przechera”? To też jest przypowieść o polityce. Przede wszystkim o metodach, jakimi zdobywa się władzę. Tytułowy bohater Lis jest bezwzględnym opryszkiem, a także niezwykle inteligentnym manipulatorem, który kłamstwem i sprytem wygrywa z silniejszymi. Wbrew prawdzie, wbrew rzeczywistości, uzyskuje nienależną mu pozycję. U nas heroikomiczny poemat Goethego długo budził niechęć. Triumfuje tu bowiem zło i cwaniactwo. „Lis Przechera” był za to popularny i ceniony w krajach Zachodu. Jako ilustracja i ostrzeżenie. Lis wie, że pycha i chciwość są wieczne. Wystarczy odpowiednio nimi grać.

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Czy znajdziemy polityczne gaśnice?

Ostatnio emocje polityczne tak buzują, że chciałoby się użyć jakiejś gaśnicy na te wszystkie rozpalone głowy, żeby ludzie zaczęli znowu działać pod dyktando rozumu, a nie tylko ekscytacji. Ponieważ jednak nie mam żadnego pomysłu na gaszenie emocji, opowiem Państwu o gaszeniu prawdziwych pożarów. Może to sprowadzi jakąś refleksję?

Oczywiście wszyscy wiemy, że nasz dobytek, a często także zdrowie i życie, ratują strażacy, którzy nieodmiennie cieszą się (słusznie!) wielkim społecznym poważaniem. Ale do walki z niszczycielskimi płomieniami ludzie wymyślili także sporo gaśnic - i o historii ich wynajdowania (bo to był cały szereg wynalazków) chciałbym dzisiaj opowiedzieć.

Pierwsze gaśnice wymyślili Niemcy. Pierwszy sukces odnotował w 1715 roku Zacharias Greyl. Jego gaśnica była naprawdę bombowa: składała się z beczki wypełnionej 20 litrami wody, do której przymocowano pojemnik z prochem i lont. Gdy taką beczkę udało się wtoczyć w samo centrum pożaru, następował wybuch, w trakcie którego duża ilość wody gasiła wszystko, do czego dotarła, a dodatkowo podmuch wybuchu też przyczyniał się do zdmuchnięcia płomieni z wielu palących się przedmiotów. To działało!

Inny pomysł miał niemiecki medyk M. Fuches. W 1734 roku zaproponował on, żeby gasić ogień, wrzucając do jądra pożaru szklane pojemniki ze słoną wodą. Pojemniki te pod wpływem gorąca pękały, a wyrzucana z nich pod ciśnieniem para i woda gasiły ogień.

Kolejnego postępu w sprawie gaśnic dokonał brytyjski wojskowy George William Manby. Był on świadkiem, jak ludzie ginęli w pożarze i uznał, że konieczne jest narzędzie, które pozwoli kierunkowo stłumić pożar w miejscu, gdzie trzeba na przykład zrobić przejście dla uciekinierów. Zaprojektował gaśnicę złożoną z miedzianego cylindra mieszczącego 12 litrów wody i 4 litry sprężonego powietrza i zaopatrzonego w zawór, przez który woda wypływała pod ciśnieniem. Urządzenie to opatentował w 1813 roku.

Z rozwojem techniki gaśnic związany był zabawny przypadek. Otóż w 1844 roku Anglik Wiliam Philips wynalazł i opatentował kolejny model gaśnicy, po czym zbudował fabrykę, która miała te gaśnice produkować. Zanim jednak te nowe urządzenia gaszące zdobyły rynek - w fabryce, gdzie je produkowano, wybuchł pożar i ona się całkiem spaliła. Nikt nie chciał kupować gaśnic z fabryki, która się spaliła!

Sukces odniosła natomiast założona w 1902 roku niemiecka firma Minimax oferująca gaśnice o nazwie Excelsior. Były bardzo skuteczne i chętnie kupowane. W samym tylko 1904 roku sprzedano tych gaśnic ponad 40 tysięcy. Współczesne gaśnice (po ponad stu latach!) są oparte na tej samej konstrukcji. W stalowym cylindrze jest środek gaśniczy (płyn lub proszek), który w momencie użycia gaśnicy jest wyrzucany w kierunku ognia przez ciśnienie gazu. Dawniej dominowały rozwiązania, w których ów gaz (najczęściej CO_2) był wytwarzany w wyniku reakcji chemicznej zachodzącej w gaśnicy w momencie jej użycia. Obecnie sprężony gaz jest umieszczany w odpowiednim ciśnieniowym zbiorniku wewnątrz gaśnicy przez producenta.

Stosowane są także gaśnice śniegowe, w których jest tak dużo tak bardzo sprężonego CO_2, że w momencie jego uwalniania z gaśnicy na skutek rozprężania gaz ten ma temperaturę minus 78 stopni. Ta temperatura wraz z wilgotnością powietrza wytwarza imponującą chmurę śniegu gaszącą ogień!

Zacząłem ten felieton od stwierdzenia, że poziom emocji w Polsce jest obecnie tak wielki, że na niektóre rozgorączkowanego głowy przydałaby się gaśnica. Może więc taka śniegowa?

Ale to oczywiście żart. Polityczne pożary musi zgasić nie taka czy inna gaśnica, tylko zdrowy rozsądek i patriotyzm. Nie chcemy przecież spalić naszego wspólnego domu, jakim jest Polska?

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

KRÓTKO

Polska

Czarzasty chce jedności lewicy przed wyborami

Największa siła lewicy będzie wtedy, kiedy pójdzie do wyborów skonsolidowana - powiedział w niedzielę marszałek Sejmu, lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Dodał, że jego marzeniem jest, by dotyczyło to również Partii Razem. **PAP**

Ukraina

Ukraińskie drony atakują okupowany Krym

Ataki ukraińskich dronów zniszczyły lub poważnie uszkodziły trzy z pięciu promów używanych przez Rosję do zaopatrywania okupowanego Krymu. – poinformował w mediach społecznościowych dowódca Sił Systemów Bezzałogowych (SBS) Ukrainy płk Robert „Madiar” Browdi. **PAP**

eprasa.pl 5a679bdc79

POLITYKA

Związki partnerskie z wetem. Czy spór o nie powróci w kampanii wyborczej?

Karol Nawrocki zawetował ustawę wprowadzającą związki partnerskie. Ale dla koalicji rządowej, która konieczność uregulowania tych kwestii mocno stawiała w ostatniej kampanii wyborczej, to nie oznacza końca tematu

Marcin Koziestański

Prezydent Karol Nawrocki zawetował w piątek rządową ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu oraz ustawę ją wprowadzającą.

Jego decyzja wywołała ostry protest ze strony koalicji rządowej. Najmocniej komentowali ją politycy Nowej Lewicy.

- Zabrał pan (tym ludziom) wspólne rozliczanie się, zwolnienie od podatku, prawo do renty rodzinnej, zabrał pan prawo do mieszkania, zabrał pan prawo do pochówku, zabrał pan prawo do informacji o stanie zdrowia, wreszcie zabrał pan prawo do dziedziczenia. Tu nie ma żadnej sprawy o seksie, tu nie ma żadnej sprawy o ideologii - ograbił pan tych ludzi ze świadczeń - powiedział Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu i lider Nowej Lewicy.

Jego zdaniem decyzja prezydenta jest „skandaliczna". - Panie prezydencie, skrzywdził pan wczoraj masę ludzi, skrzywdził pan dwie grupy: ludzi, którzy mają dzieci i nie są małżeństwem oraz skrzywdził pan ludzi, którzy mają związki homoseksualne - powiedział w Giżycku podczas spotkania w ramach trasy „Lewica Dowozi" lider Nowej Lewicy.

Zaznaczył, że „nie ma żadnych przepisów na rodzinę". - My jako Lewica traktujemy rodzinę jako mamę, tatę, dziecko; mamę, tatę tylko; ale również uważamy, że są dwie mamy, które mogą mieć dzieci i wychowywać dzieci. Również uważamy, że dwóch mężczyzn też może wychowywać dzieci. Uważamy, że może być i mama z dzieckiem, i tata z dzieckiem - powiedział.

- Wolność jest ważna. Niech każdy żyje jak chce. Nikt nie ma prawa wam zaglądać do łóżka. Nikt nie ma prawa wam mówić, w co macie wierzyć. Bądźcie wolni. Nie ma takiej możliwości, że prawo ustali dokładnie, z kim macie się kochać, kogo kochać i jak wychowywać dzieci, bo to jest wasza decyzja - podkreślił Czarzasty. Dodał, że obecnie w Polsce około 30 proc. dzieci rodzi się poza małżeństwami, dlatego też - w jego przekonaniu - rodzice tych dzieci powinni mieć takie same prawa, jak rodzice będący małżonkami.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Karol Nawrocki zawetował ustawę przygotowaną przez parlamentarzystów PSL i Nowej Lewicy. W reakcji Urszula Pasławska (druga z lewej) wystąpiła z Rady Parlamentarzystów przy prezydencie

- Ludzie mają prawo żyć jak chcą. (...) My uważamy, że każdy ma prawo do miłości - podkreślił Czarzasty.

Biorąca udział w spotkaniu pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotula powiedziała z kolei, że „Lewica kocha ludzi i Lewica dba o ludzi". - Ale jest taki jeden szkodnik w Polsce, który zasiada na stanowisku prezydenta Rzeczypospolitej, który nawet wtedy, kiedy Lewica dowozi, kiedy Lewica jest w stanie wypracować trudne kompromisy, ale przyjść z czymś, co naprawdę jest dla ludzi, mówi nie. (...) Panie prezydencie, nie da się zawetować miłości - stwierdziła Kotula.

Nie tylko Lewica ostro krytykowała Nawrockiego za odrzucenie tej ustawy. - Prezydenckie weto to wyraz pogardy wobec ludzi i ich prawa do szczęścia i normalnego życia - napisał premier Tusk. - Fatalne weto prezydenta do ustawy o statusie osoby najbliższej. Znowu ideologia ponad dobro obywateli! - dodał minister Siemoniak. - Jedną decyzją Prezydent Nawrocki powiedział Polakom: to nie Wy zdecydujecie, kto jest Waszą osobą najbliższą - napisał Cezary Tomczyk.

Także PSL odciął się od decyzji podjętej przez prezydenta. - Prezydent zablokował dobre zmiany. Zamiast ułatwiać ludziom życie, wybrał politykę - napisał Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i lider ludowców.

- To były dwa miesiące harówy przede wszystkim dwóch polskich parlamentarzystek: pani poseł Urszuli Pasławskiej oraz pani poseł i minister Katarzyny Kotuli. One wykazały się maksimum dobrej woli, zarówno w Sejmie, w Senacie, a także w relacjach, szczególnie pani poseł Urszula Pasławska z prezydentem - powiedział wicemarszałek Piotr Zgorzelski w piątek wieczorem w TVN24.

- Kiedy słyszymy płynące z Pałacu Prezydenckiego zapewnienia o konsultacjach, że parlament nie konsultuje, że parlament stawia prezydenta pod ścianą, chcieliśmy te argumenty wykluczyć, dlatego była tam, pytała o poprawki, o zdanie, o konkluzje - dodawał Zgorzelski.

Na słowach nie skończył. Wicemarszałek Sejmu z ramienia PSL podkreślił, że dwie posłanki tej partii - Urszula Pasławska i Urszula Nowogórska - przestaną być członkami Rady Parlamentarzystów przy Prezydencie RP. - Pokłady dobrej woli się wyczerpały. Nie chcieliśmy mieć sobie nawet milimetra do zarzucenia, że nie dokonaliśmy czegoś, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia, że prezydent, gdyby wiedział, to by podpisał - przekazał Zgorzelski.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakładała, że dwie osoby pełnoletnie mogłyby zawrzeć przed notariuszem rejestrowaną w urzędzie stanu cywilnego umowę, regulującą między nimi takie sprawy jak m.in. wspólność majątkowa, obowiązek alimentacyjny, prawo do mieszkania, dostęp do informacji medycznej oraz kwestie pochówku.

Do umowy można byłoby także załączyć aneks zawierający testamenty obu stron. Rządowa propozycja pozwalająca na formalizację związków partnerskich, w tym jednopłciowych, jako pierwsza w historii Polski przeszła z sukcesem przez obie izby parlamentu.

Jednak Nawrocki nie tylko wetował. Prezydent podjął decyzję o zatwierdzeniu nowelizacji ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych oraz ustawy o działalności leczniczej. Przygotowana przez rząd ustawa pozwala Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT) na zbieranie danych o wynagrodzeniach w ochronie zdrowia w powiązaniu z numerem PESEL lub numerem prawa wykonywania zawodu (PWZ). Gromadzone przez Agencję dane dotyczyłyby nie tylko grup, które można identyfikować po PWZ - to lekarze czy pielęgniarki - ale także pozostałego personelu i pracowników administracyjnych. Stąd w ustawie zapis o numerze PESEL.

Obecnie Agencja zbiera informacje o wynagrodzeniach, ale są one zanonimizowane. Tym samym nie może przypisać wysokości zarobków z różnych form zatrudnienia lub w różnych podmiotach do jednej osoby. Oznacza to, że resort zdrowia nie ma informacji o tym, ile zarabiają lekarze, jeśli pracują w kilku podmiotach jednocześnie albo w jednym podmiocie, ale są w nim zatrudnieni zarówno na etacie, jak i kontrakcie.

O zawetowanie nowelizacji apelował do prezydenta samorząd lekarski. Szef Naczelnej Rady Lekarskiej dr Łukasz Jankowski mówił, że w innym przypadku samorząd będzie wnosić do Trybunału Konstytucyjnego skargę na niekonstytucyjność ustawy. Zapowiedział też, że zwróci się też do unijnych trybunałów o sprawdzenie zgodności przepisów z RODO.

Prezydent Karol Nawrocki podpisał też nowelizację Kodeksu karnego zakładającą wprowadzenie odpowiedzialności karnej za tzw. patostreaming. Regulacja powstała w wyniku połączenia dwóch projektów - jednego autorstwa PiS i drugiego KO.

Nowelizacja Kodeksu karnego zakłada, że za rozpowszechnianie w internecie treści przedstawiających popełnienie przestępstwa godzącego w dobra osobiste, przemoc wobec zwierzęcia lub poniżające traktowanie innej osoby, nawet za jej zgodą, będzie groziła kara pozbawienia wolności do trzech lat.

PAP

eprasa.pl 5a679bdc79

POLITYKA

Prof. Bartłomiej Biskup: Nie rozumiem tego, co się dzieje w PiS. Jesienią będzie rekonstrukcja rządu

– Scena polityczna zaczęła nam się rozdrabniać i w najbliższym czasie to się nie zatrzyma. Stworzenie stabilnej większości po kolejnych wyborach może się okazać bardzo trudne. Ale przesilenia mają to do siebie, że się kończą, i wtedy znów wrócimy do uporządkowanej sceny politycznej z wyraźnym duopolem. Być może Koalicji i PiS, a być może zupełnie innych ugrupowań – mówi prof. Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego

Agaton Koziński

Jaka zbiorowa emocja jest dziś najważniejsza w życiu publicznym?

Równolegle dzieje się kilka rzeczy. Mamy kolejny etap rozliczeń, napięcia wokół Ukrainy i służby zdrowia. Dziś to wszystko układa nam debatę publiczną.

Większość tematów interesuje jedynie bańki skupione wokół głównych partii. Czy któryś ma szansę przebić się przez te szczelne bańki?

Kwestia ukraińska rozgrywa się na innym poziomie. Temat rozliczeń interesuje właściwie tylko i wyłącznie najtwardszych wyborców rządzącej koalicji. Natomiast sprawa szpitala południowego rozlewa się szeroko. Ona dla koalicji rządzącej jest groźna, bo szeroko porusza Polaków.

Ta sprawa ma dwa aspekty. Z jednej strony przypomniała, jak źle jest skonstruowany polski system opieki zdrowotnej. Z drugiej pokazała wysoki poziom kumoterstwa, nepotyzmu obozu władzy – bo tak wyglądają doniesienia o kolejnych politykach partii rządzącej wchodzących do lekarza bez kolejki.

Tak. Gdyby jeszcze chodziło tylko o służbę zdrowia, pewnie rządzącym udałoby się ten problem rozładować, pokazując, że to wyzwanie systemowe, które utrzymuje się od lat, że PiS też nic z nim nie zrobił. Ale ta druga kwestia jest już dużo bardziej kłopotliwa, bo dotyka bezpośrednio partii rządzącej. Tego wyjaśnić ogólnymi problemami systemowymi już się nie da.

Pasuje za to do tezy, że gdy rządzi Platforma, to natychmiast w jej otoczeniu pojawiają się kolejni „złoci chłopcy".

Na pewno to wpływa na zaufanie do tej partii, podważa wiarygodność do niej. I to są procesy długofalowe, które trudno będzie zatrzymać. Już to zresztą widać.

W sondażach zmiany są niewielkie.

Ale Koalicja Obywatelska zaczęła w nich tracić. Spadki są może nieduże, ale zauważalne. To tym bardziej kłopotliwe, bo ta partia nie ma gdzie szukać nowych głosów. Wcześniej urosła sondażowo po tym, jak całkowicie zmalało poparcie dla Polski 2050. Ale teraz poparcie dla niej maleje, a dla innych ugrupowań koalicyjnych nie rośnie. To właśnie konsekwencja utraty wiarygodności nadszarpniętej aferą ze szpitalem.

W sondażach jeszcze bardziej traci PiS, choć przecież ta partia powinna łapać wiatr w żagle przy problemach rządzących.

Tak, ewidentnie widać, że ta partia nie umie znaleźć kontaktu z wyborcami. Z jednej strony walczy o to, żeby znów odzyskać tych, którzy dziś wolą głosować na jedną z dwóch Konfederacji. Z drugiej jednak jest dla nich kompletnie nieprzekonywująca.

Tych wyborców miało pomóc odzyskać wskazanie Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera. Po tej nominacji sondaże PiS przestały spadać, ale też nie rosną. Mamy więc „efekt Czarnka"?

To akurat nie my mamy oceniać – a nie wiemy, jakie były pierwotne założenia w chwili, gdy wskazano go jako kandydata na premiera rządu PiS. Ale też widać, że nie umie on znaleźć własnego języka. Próbuje choćby radykalizować przekaz w sprawie Ukrainy, ale póki co przynosi to efekt odwrotny od oczekiwanego. Zresztą nie do końca wiadomo, co w ten sposób może on osiągnąć. Przecież wszyscy pamiętają, jaka była polityka rządów PiS na początku wojny. Przekonywanie, że teraz jest zupełnie inaczej, tylko pozbawia tę partię wiarygodności, a w dodatku na radykalizm Korony Grzegorza Brauna Czarnek i tak nie ma szans się przebić. Ślepa uliczka.

Tym bardziej że nastroje antyukraińskie w Polsce nie oznaczają, że Polacy nagle nie chcą wspierać Ukrainy. Zdecydowana większość Polaków nadal wspiera Ukraińców w ich walce z Rosją.

Dokładnie. Co innego krytyka Wołodymyra Zełenskiego za jego gloryfikację UPA, a co innego bezpośrednie uderzanie w pomoc Ukrainie. Trudno taką strategią zdobyć dodatkowe punkty.

W PiS cały czas są widoczne dwa silne nurty. Jeden z nich zakłada ostry skręt w prawo w poszukiwaniu dawnych wyborców, drugi natomiast odwoływanie się do centrum, łowienie wśród rozczarowanych wyborców KO i Trzeciej Drogi. Co lepiej rokuje?

Zdecydowanie ten drugi kierunek. Proszę spojrzeć na sondaże. Obie Konfederacje regularnie zgarniają w nich łącznie 20-25 procent. To poparcie jest stabilne, trudno sobie wyobrazić scenariusz, w którym ono gwałtownie i mocno się załamie. Dlatego jeśli PiS chce odbudować swoje notowania, to łatwiej szukać mu poparcia w centrum niż na prawym skrzydle.

Czyli spodziewa się Pan, że pęknięcie na dwa kluby przyniesie mu pozytywny rezultat?

Nie wykluczam tego, choć generalnie uważam, że to złe rozwiązanie. Polski system wyborczy premiuje ugrupowania zwarte i silne, więc podział na początku może oznaczać straty w przeliczeniu na mandaty.

Pod tym względem metoda d'Hondta jest bezwzględna.

AKCJA CHARYTATYWNA
0011544302

eprasa.pl 5a679bdc79

Właśnie. Z drugiej strony te dwa nurty w PiS są widoczne od dawna. Jest też grupa wyborców, która szuka bardziej umiarkowanej oferty, bliższej centrum. Jeśli taka propozycja firmowana przez Mateusza Morawieckiego rzeczywiście się pojawi, może do nich trafić. Dlatego paradoksalnie nie musi to być złe rozwiązanie, choć nie jestem przekonany, czy pozytywne efekty byłyby widoczne już w wyborach w 2027 roku.

Nikt nigdy w polityce nie ma więcej czasu niż do najbliższych wyborów.

Tak. Ale też dla części konserwatywnych wyborców przesuwanie się PiS jeszcze bardziej w prawo, w stronę Konfederacji, jest już nie do zaakceptowania. Przez nich nowa oferta mogłaby zostać odebrana jako pewne odświeżenie. Jednocześnie mam wątpliwości, czy Mateusz Morawiecki jest najlepszą osobą do symbolizowania takiej zmiany. Był premierem, co ciągnie za sobą wiele różnych skojarzeń. Dla sporej grupy wyborców jest twarzą kojarzącą się z rozczarowaniem wcześniejszymi rządami PiS. Oni są przekonani, że wtedy popełniono błędy i potrzebny jest inny kierunek. Raczej stawiałbym na zupełnie nowe twarze. Wówczas pojawiłaby się realna alternatywa.

Akurat Morawiecki nie jest najstarszą twarzą w polskiej polityce.

Oczywiście, jest on twarzą młodszego pokolenia niż Donald Tusk czy Jarosław Kaczyński, ale nadal pozostaje symbolem rządów PiS i konfliktu PO – PiS. Nie jest politykiem „starym", ale jest bardzo mocno kojarzony z tamtym okresem. Dlatego trudno mówić o całkowicie nowym otwarciu.

Na wstępie od razu przekreśla Pan szanse nowego projektu Morawieckiego.

Bardziej wydaje mi się, że jego czas jeszcze nie nadszedł. Porównuję go, oczywiście z zachowaniem wszelkich proporcji, do Jerzego Buzka, który odchodził z krajowej polityki w bardzo trudnym momencie, a po kilku latach wrócił jako postać ciesząca się dużym autorytetem.

Buzek przestał być premierem w 2001 roku i do krajowej polityki partyjnej już nie wrócił.

Oczywiście nigdy nie wrócił do krajowej polityki jako lider dużego projektu, ale stał się jednak ważną osobistością polityczną. Dlatego zastanawiam się, czy dla Mateusza Morawieckiego nie jest jeszcze po prostu za wcześnie. Być może dystans od okresu jego rządów jest zbyt mały.

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Biskup: Kaczyński powinien wymienić Czarnka na kogoś młodszego

Czy sam Morawiecki będzie chciał czekać?

Myślę, że nie. Już teraz widać, że jego działania są bardzo zdecydowane. Trudno też odmówić mu politycznych argumentów. Ma własne zaplecze, jest silną postacią i zbudował swoją pozycję. Jest również bardzo rozpoznawalny. W sondażach dotyczących sukcesji po Jarosławie Kaczyńskim to właśnie Mateusz Morawiecki najczęściej zajmuje pierwsze miejsce. Pozostali politycy są albo mniej rozpoznawalni, albo osiągają znacznie słabsze wyniki. To pokazuje jego potencjał. Ryzyko polega jedynie na tym, że to właśnie on jest twarzą tego projektu.

Z perspektywy zwykłego wyborcy wewnętrzne spory w PiS wydają się dziś mało zrozumiałe. Jeszcze kilka miesięcy temu partia znajdowała się w defensywie, podczas gdy Donald Tusk narzucał agendę. Dziś rząd przeżywa najpoważniejszy kryzys od 2023 roku, a mimo to PiS, zamiast wykorzystać sytuację, zajmuje się własnymi konfliktami. Jak Pan to tłumaczy?

Właśnie tego nie rozumiem, trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie faktu, że ten konflikt wewnątrz PiS wybuchł akurat teraz. Kiedy zaczęły się pojawiać informacje o tych wydarzeniach, pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem, brzmiało: dlaczego właśnie teraz? Można oczywiście powiedzieć, że to przypadek, ale w polityce przypadki zdarzają się rzadko. Jeszcze niedawno wydawało się, że konflikt został przynajmniej częściowo wygaszony. Obie strony funkcjonowały obok siebie, każdy zajmował się swoimi sprawami i nie było już tak wyraźnych uszczypliwości czy publicznych docinków.

Tym bardziej że rząd mierzy się z poważnymi problemami.

Obserwując scenę polityczną, powiedziałbym, że to posunięcie co najmniej destrukcyjne. Nie chcę używać określenia „samobójcze", ale z punktu widzenia strategii opozycji trudno znaleźć dla niego uzasadnienie. Partia, która nie sprawuje władzy, powinna się konsolidować, wzmacniać własne szeregi i wykorzystywać słabości rządzących, a nie otwierać kolejny front wewnętrznego konfliktu. Zamiast tego obserwujemy proces pozbywania się dużej frakcji we własnej partii.

Poziom napięcia wewnątrz PiS jest jednak ogromny i utrzymuje się od bardzo dawna. Widocznie w partii uznano, że trzeba to przeciąć.

Właśnie tak to oceniam. Można wyobrazić sobie sytuację, w której dochodzi do podziału i budowy nowej oferty politycznej, ale nie wtedy, gdy partia powinna przede wszystkim wzmacniać jedność. Nie widać żadnego wyraźnego impulsu, który uzasadniałby taki ruch właśnie teraz – w momencie gdy rząd słabnie i zmaga się z własnymi problemami. To sprawia wrażenie działania nieracjonalnego. Oczywiście polityka nie zawsze przebiega według racjonalnych schematów. Czasem o rozwoju wydarzeń decyduje splot okoliczności lub nieprzewidziany efekt wewnętrznych napięć.

Spróbujmy jednak to racjonalnie uporządkować. Jeśli PiS ma szukać realnie swoich szans w kolejnych wyborach, gdzie według Pana powinien szukać wyborców?

Jak wspomniałem wcześniej, prawa strona sceny politycznej wydaje się być zabetonowana, więc dużo łatwiej byłoby mu skręcać do centrum, próbować docierać do rozczarowanych wyborców obecnej koalicji rządowej. Łagodny kurs może stworzyć więcej możliwości niż kurs twardy, radykalizacja przekazu. Łącznie z szukaniem nowych twarzy. Obecnie twarzą PiS – zamiast Przemysława Czarnka – powinien być ktoś młody. Zresztą nie dotyczy to tylko tej partii, lecz obu największych ugrupowań. Już wybory prezydenckie pokazały, że Polacy chcą nowych twarzy w polityce.

Donald Tusk o tym słyszał?

[śmiech] Pewnie tak, na pewno dostaje badania, które to potwierdzają. Oddzielna sprawa, czy będzie skłonny to przyjąć do wiadomości.

Bez względu na to, co się dzieje z PiS, poparcia dla koalicji rządzącej spada. Ostatni sondaż CBOS pokazał gwałtowny przyrost przeciwników rządu – ich liczba w ciągu miesiąca wzrosła z 42 do 48 procent. Jakie Donald Tusk ma przed sobą perspektywy?

Na pewno będzie musiał zareagować. Spodziewam się, że jesienią dojdzie do większych zmian, pewnie rekonstrukcji rządu, jakichś nowych rozwiązań programowych – wszystko po to, żeby choć trochę odbudować nadwątlone zaufanie. Ale nie spodziewam się, żeby to przyniosło efekt. Ta słabość koalicji rządowej utrzyma się już do wyborów.

Mamy więc sytuację paradoksalną: Koalicja już przegrała wybory, ale obecna opozycja jest tak rozbita i rozproszona, że właściwie nie ma komu ich wygrać.

Trochę tak jest. Taka sytuacja zaczyna nam się kształtować. Wygląda na to, że w kolejnych wyborach nie będziemy mieli już silnie dominujących podmiotów, raczej całą plejadę drobniejszych graczy. Scena polityczna zaczęła nam się rozdrabniać i w najbliższym czasie to się nie zatrzyma. Stworzenie stabilnej większości po kolejnych wyborach może się okazać bardzo trudne.

Przyzwyczailiśmy się do duopolu PO i PiS rządzącego Polską od 2005 roku. To już się skończyło i nie wróci?

Nie sądzę. To obecne rozdrobnienie, które właśnie zaczyna nam się rysować, to proces przejściowy. Przesilenia mają to do siebie, że się kończą, i wtedy znów wrócimy do uporządkowanej sceny politycznej z wyraźnym duopolem. Nie wiem jeszcze, kto go stworzy – być może znów Koalicja i PiS, być może jakieś inne partie. Ale nie spodziewam się, by obecny chaos utrzymywał się długo.

eprasa.pl 5a679bdc79

POLITYKA

Rozłam czy jedność? W PiS tydzień kluczowych decyzji o przyszłości partii

Wrze w Prawie i Sprawiedliwości. Prezes Kaczyński dał Mateuszowi Morawieckiemu i jego ludziom czas od czwartku. Mają wybierać: partia albo ich stowarzyszenie. To finał walki frakcyjnej, która trwa w PiS-ie od wielu miesięcy

Dorota Kowalska

W Prawie i Sprawiedliwości napięcie sięga zenitu. Wygląda na to, że ważą się losy Mateusza Morawickiego i jego ludzi, a co zatem idzie PiS-u w takim składzie, w jakim jeszcze trwa. Wprawdzie po spotkaniu z prezesem Kaczyńskim, Mateusz Morawiecki zamieścił w mediach społecznościowych budujący wpis, ale wydaje się, że to tylko dobra mina do złej gry.

„Jeszcze się nie urodził taki intrygant, który podzieli mnie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim" - napisał były premier. „Donald Tusk po raz kolejny liczył na to samo: że prawica zajmie się sama sobą. Że intryga i plotki zrobią za niego polityczną robotę. Nie doczeka się" – dodał.

Morawiecki podkreślił, że jego „lojalność wobec obozu patriotycznego potwierdzały czyny w najtrudniejszych momentach", a obowiązkiem Prawa i Sprawiedliwości jest dziś „zjednoczyć wszystkie środowiska, którym zależy na silnej, bezpiecznej i ambitnej Polsce".

„To nie jest nasza słabość. To jest nasza siła. Przeciwnik jest jeden. Dlatego wszystkie ręce na pokład. Razem już pokazaliśmy, że potrafimy wygrywać wybory i dobrze rządzić. Zrobimy to ponownie. Polska wygra wtedy, gdy patrioci będą budować mosty między sobą, a nie mury" - tłumaczył.

Wcześniej odbyło się spotkanie Morawickiego z Kaczyńskim, niektórzy mówili: spotkanie ostatniej szansy. W każdym razie członkowie stowarzyszenia „Rozwój Plus" Mateusza Morawieckiego liczyli na to, że piątkowa rozmowa oczyści atmosferę i wyjaśni zamieszanie, które powstało wewnątrz PiS. Mieli nadzieję, że będzie jak za pierwszym razem, czyli wtedy, kiedy ogłosili powstanie stowarzyszenia: prezes pogrozi palcem, a potem odpuści.

Tego samego dnia wysłali zresztą list do Kaczyńskiego, pod którym podpisało się 45 posłów i europosłów, w tym Morawiecki. W liście pojawiło się wiele pięknych słów, głównie o chęci zachowania jedności i otwartości na kontynuację w partii idei „dwóch płuc".

Spotkanie prezesa z byłym premierem trwało ponad dwie godziny, ale chyba nie wszystko poszło po myśli „Harcerzy", jak nazywani są ludzie Morawieckiego. Piotr Mueller, jeden z założycieli stowarzyszenia „Rozwój Plus", przekazał na antenie Polsat News, że dyskusja pomiędzy byłymi premierami była „konstruktywna, ale bez żadnych finalnych konkluzji".

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Ponad 45 posłów i europosłów podpisało się pod listem popierającym Mateusza Morawieckiego

Także rzecznik PiS Rafał Bochenek podkreślił, że rozmowa choć spokojna, „nie doprowadziła do rozstrzygnięcia sprawy zasadniczej".

Dalej Bochenek odniósł się do decyzji władz PiS z 15 lipca, zakazującej członkom partii przynależności do stowarzyszeń, których „statutowym lub faktycznym celem jest prowadzenie działalności o charakterze politycznym".

„Decyzja Prezydium Komitetu Politycznego z dnia 15 lipca br. obowiązuje i wciąż jest aktualna" – stwierdził dodając, że do czwartku parlamentarzyści, którzy chcą pracować w partii, mają czas na złożenie stosownych oświadczeń.

Jeśli ktoś nie zrezygnuje z działalności w takich stowarzyszeniach, „wówczas zostanie uruchomiona procedura wykluczenia z partii za pośrednictwem Komitetu Politycznego".

Bochenek podkreślił, że prezesowi Kaczyńskiemu „zależy na jedności obozu politycznego, który zawsze był wielonurtowy, ale w ramach struktur partii - nigdy obok i nie w kontrze do nich".

Wcześniej, w wywiadzie dla Kanału TAK! Jarosław Kaczyński tłumaczył, że władze partii nie dążą do usunięcia z niej kogokolwiek, lecz oczekują zachowania elementarnych standardów.

– My nikogo nie wyrzucamy. My tylko domagamy się takiej najbardziej elementarnej lojalności wobec partii. A przedsięwzięcia, które zostały podjęte przez stowarzyszenie, na którego czele stoi były premier Mateusz Morawiecki, to są przedsięwzięcia, które mogą nas bardzo, ale to bardzo drogo kosztować – oświadczył Kaczyński.

I dodał, że aktywność „Rozwoju Plus" prowadzi do bezpośrednich podziałów wewnątrz formacji. Jako przykład podał zgłoszenie byłego szefa rządu jako kandydata na premiera przez jednego z członków stowarzyszenia. Jarosław Kaczyński podkreślił, że partia nie może funkcjonować z dwoma pretendentami do tego stanowiska.

Dalej prezesa PiS mówił o kwestiach finansowych i restrykcyjnych przepisach ustawy o partiach politycznych. Jarosław Kaczyński wyjaśnił, że partia nie może finansować podmiotów zewnętrznych ani być przez nie wspierana. Organizacja wydarzeń przez stowarzyszenia parlamentarzystów PiS, takich jak planowane na 31 lipca spotkanie przy grillu, niesie za sobą ryzyko prawne.

– Ponieważ szefem tego jest wiceprezes PiS, jest tam bardzo wielu posłów, może mniej, ale senatorów PiS, więc to też byłoby dla jeszcze tym bardziej dla ominięcia prawa i po prostu stracilibyśmy dotację – mówił prezes Kaczyński. Dodał, że utrata państwowego dofinansowania oznaczałaby dla partii pozbawienie jakichkolwiek szans w rywalizacji politycznej.

Po tym wywiadzie stało się jasne, że Jarosława Kaczyński nie zamierza odpuszczać, na co liczyli ludzie Morawickiego, pewnie stąd taki finał piątkowego spotkania.

Przypomnijmy, na decyzję Prezydium Komitetu Politycznego z 15 lipca pozytywnie zareagowali „Maślarze", czyli ludzie skupieni wokół Jacka Sasina, Patryka Jakiego, Tobiasza Bocheńskiego. O wojnie ich frakcji z ludźmi Morawieckiego media rozpisują się od miesięcy. Jedni i drudzy założyli stowarzyszenia. Morawiecki i jego ludzie - „Rozwój Plus", Sasin ze swoją ekipą – „Po pierwsze Polska.".

- Potrzebna jest jedność, całkowita mobilizacja wszystkich sił. Ta uchwała jest sprawą oczywistą, PiS musi być partią jednolitą – napisał Jacek Sasin, czym dał do zrozumienia, że stowarzyszenie „Po pierwsze Polska" zostanie rozwiązane.

Co innego „Harcerze". Według ustaleń radia Eska były premier przekazał swoim współpracownikom, że nie rozwiąże swojego stowarzyszenia. Podtrzymał też zaproszenie na grilla, który ma się odbyć w Warszawie 31 lipca. „Mamy unikalną szansę zbudowania Wielkiej Polski, o jakiej marzyły pokolenia" – napisał na X Morawiecki. Zapewnił, że „taki jest i pozostanie" cel jego stowarzyszenia.

Wojnie w Prawie i Sprawiedliwości z zaciekawieniem przyglądała się cała scena polityczna. - Ja znam Jarosława Kaczyńskiego długo, on nie wybacza tego typu zachowań jak Mateusza Morawieckiego. Więc niektóre spekulacje, że to jest ustawka, jakiś sprytny plan włóżcie między bajki. Biją się tam na śmierć i życie - powiedział Donald Tusk. - Sprawa jest dużo poważniejsza i akurat to mówię bez satysfakcji. Jarosław Kaczyński traci z dnia na dzień kontrolę nad PiS. I to nie chodzi tylko o kontrolę tą partyjną, że przestali go słuchać (...). Chodzi o to, że ta partia zaczyna mówić Braunem, prawdziwym liderem PiS staje się Grzegorz Braun - wskazał szef rządu.

Jego zdaniem to właśnie wyścig z Braunem stoi za utratą kontroli przez Kaczyńskiego.

- Już nie rządzi duszami po tamtej stronie, jego obóz się rozsypuje. Ale prawdziwym wyzwaniem jest to, że pierwsze skrzypce zaczynają grać ludzie bardzo do siebie podobni, bardzo groźni. To jest prezydent Nawrocki, to jest Braun, to jest Konfederacja. To oni zastępują dzisiaj PiS i to jest największe wyzwanie dla mnie dzisiaj – podsumował Tusk.

Ale też wojna frakcji w PiS to nie jedyny kłopot prezesa Kaczyńskiego. Jeśli spojrzeć na ostatnie sondaże dominacja Prawa i Sprawiedliwości została skutecznie zakwestionowana. PiS ma już tylko około połowy prawej strony rynku politycznego. To nowa sytuacja, bo dotychczas Prawo i Sprawiedliwość dość niepodzielnie panowało nad prawicowymi wyborcami. Ale też Partia Jarosława Kaczyńskiego oddała w ostatnim czasie prawie dwa miliony wyborców Grzegorzowi Braunowi i Konfederacji.

Spełnił się zatem czarny sen prezesa, bo na prawo od PiS wyrósł mu nie jeden, ale dwóch konkurentów, których zsumowane poparcie jest większe niż to dla Prawa i Sprawiedliwości, sama Konfederacja Mentzena i Bosaka niebezpiecznie zbliża się do PiS (różni ich już tylko niewiele ponad 4 pkt proc.). Także dlatego, Kaczyński musi panować nad tym, co dzieje się w partii, dlatego przywołał do porządku „Harcerzy". Teraz ruch Morawieckiego i jego ludzi. Jeśli postawią się prezesowi, PiS grozi rozłam.

eprasa.pl 5a679bdc79

POLITYKA

Na Ukrainie protesty przeciw dymisji ministra. Plan Zełenskiego się sypie

W kilku miastach Ukrainy trwają akcje poparcia dla zwolnionego ministra obrony Mychajło Fedorowa. Jego obowiązki ma przejąć dotychczasowy p.o. szefa SBU – ale to wariant awaryjny Zełenskiego, bo nie udało się wstawić na to stanowisko faworyta prezydenta. Cała przebudowa rządu wywołała na Ukrainie burzę i Zełenski znalazł się w ogniu potężnej krytyki. Z Zachodu zresztą też

Grzegorz Kuczyński

W sobotę w Kijowie i innych miastach Ukrainy trzeci dzień z kolei trwały protesty z udziałem tysięcy ludzi, w większości młodych, przeciw dymisji Fedorowa. Demonstranci domagali się przywrócenia go na stanowisko i dymisji Syrskiego. Konflikt między Fedorowem i naczelnym dowódcą armii komentatorzy uznają za powód zarządzonych przez Zełenskiego zmian personalnych na czele ministerstwa obrony.

To był kolejny dzień protestów w kolejnych ukraińskich miastach.

- Oczywiście słyszę, co mówią ludzie – powiedział ukraiński prezydent w nagraniu wideo, odnosząc się do protestów organizowanych w ostatnich dniach w wielu miastach Ukrainy przeciw dymisji dotychczasowego ministra obrony Mychajła Fedorowa.

Zełenski poinformował również, że przeprowadził rozmowy zarówno z Fedorowem, jak i z naczelnym dowódcą armii ukraińskiej gen. Ołeksandrem Syrskim.

- Decyzje w sprawie armii są opracowywane - zapewnił, nie podając szczegółów.

16 lipca serwis Ukraińska Prawda poinformował, że Zełenski podjął decyzję o odwołaniu Fedorowa ze stanowiska ministra z powodu jego konfliktu z głównodowodzącym Sił Zbrojnych Ukrainy Aleksandrem Syrskim.

Fedorow potwierdził, że Syrski blokował wszystkie jego inicjatywy i nie był gotowy do omawiania problemów, za to był „gotowy do knucia intryg". Były już minister obrony poinformował, że próbował namówić Zełenskiego do dymisji Syrskiego i szefa Sztabu Generalnego gen. Andrija Hnatowa.

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Prezydent Wołodymyr Zełenski, odwołując niezwykle popularnego w kraju ministra obrony, wywołał polityczną burzę na Ukrainie

- Zamiast zastanawiać się, jak pokonać Rosję w sposób asymetryczny – co jest zadaniem głównodowodzącego – zastanawiał się, jak podzielić kraj, w którym wszyscy dziś żyjemy. A to jest poważny problem – tak Fedorow mówił o Syrskim.

Szybko okazało się, że prezydent chce zgłosić na stanowisko ministra obrony kandydaturę dotychczasowego szefa MSW, Ihora Kłymenki. Jednak protesty przeciwko dymisji Fedorowa i brak wystarczającego poparcia w parlamencie sprawiły, że sam Kłymenko odmówił. Zełenski musiał sięgnąć po wariant awaryjny.

Wieczorem 16 lipca Zełenski oświadczył, że obowiązki ministra obrony Ukrainy będzie pełnił Jewhen Chmara. To ceniony oficer SBU, stał na czele Centrum Operacji Specjalnych „Alfa" Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, przez ostatnie pół roku pełnił obowiązki szefa SBU.

Jak zauważa ukraińska sekcja BBC, na razie nie jest jasne, w jaki sposób Chmara mógłby stanąć na czele Ministerstwa Obrony nawet w charakterze pełniącego obowiązki, ponieważ w tym celu rząd musiałby najpierw mianować go wiceministrem i upoważnić do tymczasowego kierowania resortem.

Ponadto Chmara pełni służbę wojskową, a zgodnie z ustawą „O bezpieczeństwie narodowym Ukrainy" stanowiska ministra i jego zastępcy mogą zajmować wyłącznie osoby cywilne.

W czwartek Rada Najwyższa zatwierdziła na stanowisku nowego premiera Ukrainy szefa spółki Naftohaz Serhija Koreckiego, a także zatwierdziła kandydatury zaproponowanych przez niego członków gabinetu ministrów — z wyjątkiem szefów Ministerstwa Obrony i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zgodnie z prawem prezydent powinien przedłożyć je do rozpatrzenia przez parlament, jednak w momencie głosowania nad nowym rządem Zełenski nie przekazał jeszcze tych wniosków do Rady.

Oliwy do ognia dolały doniesienia, że doszło do spotkania Syrskiego z b. szefem administracji prezydenckiej Andrijem Jermakiem. Ten przez lata wszechpotężny polityk, prawa ręka Zełenskiego, stracił stanowisko po wybuchu potężnego skandalu korupcyjnego. Jego kontakty z Syrskim, zwalczającym reformatora Fedorowa, odbiera się jako jednoczenie się sił wrogich zmianom i reformom, chcących utrzymać schematy korupcyjne i tradycyjny, posowiecki sposób prowadzenia wojny.

Fedorow pełnił funkcję ministra obrony zaledwie przez pół roku, ale zdążył wprowadzić kilka ważnych dla frontu zmian, w tym znacznie zwiększyć produkcję dronów różnych typów i zasięgu oraz ogólnie wzmocnić, zarówno finansowo, jak i technicznie, sektor bezzałogowych statków powietrznych. Szybko przyniosło to znakomite rezultaty w walce z Rosją.

16 lipca, dzień po ogłoszeniu dymisji Fedorowa, setki ludzi zgromadziły się przed siedzibą prezydenta Wołodymyra Zełenskiego w Kijowie. W proteście swoją rezygnację złożył zastępca dowódcy ukraińskich sił powietrznych, a wraz z nim dwóch znanych doradców spoza ministerstwa.

- Cóż za koszmar – zmieniać ministra obrony kraju pogrążonego w wojnie co sześć miesięcy – powiedziała Iryna Heraszczenko, posłanka z opozycyjnej partii Europejska Solidarność. „Tyrania, zazdrość polityczna, nietolerancja wobec odmiennych opinii – to wszystko drogo kosztuje kraj".

Politolog Wołodymyr Fesenko nazywa dymisję Fedorowa „poważnym błędem": „Najwyraźniej rosnąca popularność Fedorowa wywołała pewien poziom niezadowolenia w zespole Zełenskiego i, jak się wydaje, spowodowała również pewną irytację samego Zełenskiego".

Stanisław Asejew, dziennikarz i były współpracownik RFE/RL, który spędził 28 miesięcy w rosyjskiej niewoli, zasugerował, że Zełenski stanął po stronie skorumpowanych elementów w ukraińskich kręgach wojskowych: „tych, którzy doradzali prezydentowi zwolnienie [Fedorowa], aby mogli nadal wyprowadzać miliardy z Ministerstwa Obrony".

„Ze wszystkich ministrów obrony, jakich mieliśmy od początku pełnej inwazji, on jest najlepszy. Tak, nie jest idealny, ale procesy, które zapoczątkował, są bardzo pozytywne dla wojska" – napisał w poście na Facebooku Wiaczesław Bilkowski, były oficer, który obecnie pełni służbę w administracji obwodu chersońskiego.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek kogoś usunięto w tak nieuzasadniony sposób – powiedział RFE/RL jeden z mężczyzn biorących udział w proteście w Kijowie. „Zazwyczaj ludzi zwalnia się za słabe wyniki. To ucieszy Rosję". **PAP**

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl 5a679bdc79

ROCZNICA ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

Poseł Paweł Kowal: Nie zapomnimy o Wołyniu, ale nie damy się wciągnąć w rosyjską grę

– Nikt, kto zginął niewinnie, nie zostanie zapomniany – podkreśla Paweł Kowal, przewodniczący Koalicji Obywatelskiej na Podkarpaciu, szef sejmowej Komisji ds. Zagranicznych, odnosząc się do idei Muru Pamięci z wiecznym ogniem ku czci ofiar zbrodni wołyńskiej. W rozmowie z naszą redakcją mówi o pamięci historycznej, ekshumacjach, relacjach polsko-ukraińskich, bezpieczeństwie Polski oraz szansach związanych z odbudową Ukrainy

Urszula Sobol

11 lipca obchodziliśmy rocznicę Krwawej Niedzieli – jednej z najtragiczniejszych kart w historii relacji polsko-ukraińskich. Premier Donald Tusk powiedział, że „pamięć nie może być sługą nienawiści, a odpowiedzią na nacjonalizm nie może być więcej nacjonalizmu". Jakie są nasze obowiązki wobec ofiar zbrodni wołyńskiej, także w kontekście budowania dzisiejszych relacji z Ukrainą?

Zawsze wtedy, kiedy mamy do czynienia ze zbrodnią wojenną czy ludobójstwem, podstawowy obowiązek to potępienie zbrodni. Musi to zrobić każdy polityk i w ogóle każdy, kto zajmuje się życiem publicznym. Nie chodzi wyłącznie o przeszłość. Potępienie zbrodni jest również deklaracją wobec przyszłości. Kiedy obserwujemy współcześnie tendencje, które mogą prowadzić do podobnych tragedii, pokazujemy w ten sposób, jaki mamy do nich stosunek. Drugą sprawą jest pamięć i prawda. Trzeba nazwać sprawców oraz właściwie zakwalifikować zbrodnię przede wszystkim pod względem prawnym. To szczególnie ważne w przypadku ludobójstwa, którego istotą jest mordowanie ludzi ze względu na ich narodowość. W przypadku zbrodni wołyńskiej mieliśmy do czynienia z wyraźną intencją zabijania Polaków dlatego, że byli Polakami. Jednocześnie trzeba pamiętać, że ofiarami byli również przedstawiciele innych narodowości oraz Ukraińcy, którzy ratowali swoich polskich sąsiadów. Znamy szereg przypadków, kiedy członkowie UPA mordowali Polaków, a w ich obronie stawali Ukraińcy – często motywowani swoją chrześcijańską wiarą. Szczególnie wielu takich ludzi było wśród grekokatolików w Galicji. Mówili oni stanowcze „nie" zbrodni. Jednym z pomysłów upamiętnienia ofiar jest Mur Pamięci z wiecznym ogniem.

Skąd wzięła się ta inicjatywa i jakie znaczenie może mieć dla rodzin pomordowanych oraz całego społeczeństwa?

Ekshumacje i poszukiwania będą trwały jeszcze przez wiele lat. Wielu ofiar prawdopodobnie nigdy nie odnajdziemy, a innych będziemy szukać bardzo długo. Dlatego tak ważne jest, aby już teraz stworzyć w stolicy miejsce, gdzie będzie można wskazać z imienia i nazwiska zarówno ofiary odnalezione i ekshumowane, jak i te ustalone przez historyków prowadzących badania. Historycy będą zapewne dalej uzupełniać listy ofiar zbrodni katyńskiej oraz zbrodni wołyńskiej, aby w przyszłości mogły one stać się podstawą trwałego upamiętnienia. Mur pamięci może powstawać stopniowo – podobnie jak w innych miejscach na świecie, gdzie listy ofiar są stale uzupełniane na podstawie dokumentów historycznych, rodzinnych i wyników ekshumacji. Byłoby to niezwykle wymowne przesłanie: nikt, kto zginął tylko dlatego, że był Polakiem albo bronił innych, nie zostanie zapomniany. Rzeczpospolita o nich pamięta. Choć wiele tych osób zginęło na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, które dzisiaj są już poza naszymi granicami, byli obywatelami polskimi i ich rodziny powinny mieć miejsce, do którego mogą przyjść i oddać hołd. To może być jedno z ważniejszych upamiętnień w historii naszego kraju.

Wielokrotnie podkreślał Pan, że obecny rząd w ciągu ostatnich dwóch lat zrobił więcej w sprawie ekshumacji niż przez poprzednie dekady. Co konkretnie udało się osiągnąć?

Jeśli chodzi o poszukiwania i ekshumacje, obecnemu rządowi udało się doprowadzić do ich wznowienia po wielu latach. Rozmowy ze stroną ukraińską rozpoczęły się po ustaleniach premiera Donalda Tuska z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Powstał specjalny zespół, a następnie rozpoczęto konkretne działania. Poszukiwania ruszyły m.in. w Puźnikach, Ostrówkach, Woli Ostrowieckiej, a wkrótce także w Hucie Pieniackiej. Wbrew obawom wielu osób udało się osiągnąć porozumienie także w tej mającej symboliczne znaczenie sprawie. Huta Pieniacka jest jednym z miejsc szczególnie ważnych dla pamięci o ofiarach zbrodni wołyńskiej. Działania te dotyczą nie tylko ofiar zbrodni wołyńskiej, ale także innych tragedii XX wieku, między innymi żołnierzy Września. Przykładem jest historia obrońców Rzeszowa, podkomendnych późniejszego generała Stanisława Maczka, którzy walczyli z Niemcami, a wielu z nich zginęło później we Lwowie. Ich ekshumacja i uroczysty pochówek w Mościskach były bardzo ważnym momentem. Zbrodnia wołyńska to nie tylko sam Wołyń. Historycy określają tym mianem zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu, w Galicji oraz częściowo na terenach dzisiejszego Podkarpacia i Lubelszczyzny. Najważniejsze osiągnięcie ostatnich lat polega na tym, że ekshumacje przestały być kwestią politycznych negocjacji, a stały się procesem administracyjnym. Jeśli instytucje spełnią określone wymogi, mogą prowadzić poszukiwania i badania. Udało się także potwierdzić prawo rodzin do godnej pamięci po bliskich zmarłych – do ich odnalezienia, ekshumacji, pochówku oraz możliwości modlitwy czy medytacji nad grobem. To ważny krok także dla relacji polsko-ukraińskich. Możemy różnić się w ocenach historycznych, między innymi w sprawie UPA, ale nie powinno to przeszkadzać w tym, aby ofiary znalazły spokój, a rodziny po ponad 80 latach mogły doznać ukojenia. W interesie Polski nie jest pogłębianie konfliktu z Ukrainą, ale uczciwe dbanie o pamięć historyczną i własne interesy. W wielu sprawach nasze kraje współpracują, między innymi gospodarczo. Mamy duży eksport na Ukrainę, inwestycje polskich firm i tysiące miejsc pracy związanych z tymi relacjami. Dlatego trzeba patrzeć na historię, ale jednocześnie odpowiadać za teraźniejszość i przyszłość. Pamięć o ofiarach i współpraca między państwami to część tego samego procesu.

Za naszą wschodnią granicą wciąż trwa wojna. Jak pogodzić dążenie do prawdy historycznej i godnego upamiętnienia ofiar z koniecznością utrzymywania dobrych relacji z Ukrainą oraz dbania o bezpieczeństwo Polski?

Powiedzieliśmy Polakom, że doprowadzimy do tego, aby ekshumacje były możliwe, niezależnie od sporów historycznych. I właśnie tak podchodzimy do tej sprawy. Możemy różnić się z Ukrainą w ocenie UPA i jej dziedzictwa. Nie ma dziś w tej kwestii pełnej zgody. Nie powinno to jednak przeszkadzać w tym, by ofiary wreszcie znalazły spokój, a ich rodziny – ukojenie po ponad 80 latach oczekiwania. Trzeba uczciwie powiedzieć, że choć nie zgadzamy się w ocenie historii, to obecnie nie ma przeszkód we współpracy archeologów i prowadzeniu poszukiwań. To bardzo ważny sygnał dla relacji polsko-ukraińskich. Jednocześnie jako politycy odpowiadamy nie tylko za historię, ale także za teraźniejszość i przyszłość. Dlatego w relacjach z Ukrainą musi być miejsce na myślenie strategiczne i współpracę gospodarczą. Polskie firmy inwestują na Ukrainie, rośnie eksport, a za nim stoją tysiące miejsc pracy w Polsce. Podchodzę pragmatycznie do relacji polsko-ukrańskich, bo widzę ich znaczenie dla naszej gospodarki i bezpieczeństwa.

Wróćmy jeszcze do konferencji, która odbyła się w czerwcu w Gdańsku i była poświęcona odbudowie Ukrainy. Zgromadziła ona ponad 7500 uczestników, 67 oficjalnych delegacji, a jej efektem były deklaracje przekraczające 10 mld euro. To ogromne liczby. Czy to pokazuje, że Polska, a także region Podkarpacia, który ze względu na swoje położenie odgrywa szczególną rolę, staje się jednym z ważnych centrów odbudowy Ukrainy w Europie?

Z pewnością jesteśmy jednym z istotnych miejsc na tej mapie. Warto podkreślić, że Polska jest między innymi jednym z organizatorów Europejskiego Funduszu Flagowego, który będzie wspierał europejskich inwestorów angażujących się w odbudowę Ukrainy. Część tych inwestycji już się rozpoczyna, a ich finansowanie opiera się przede wszystkim na środkach europejskich oraz wsparciu międzynarodowych instytucji finansowych, takich jak Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju. W Gdańsku podpisano około 200 umów i porozumień. Nie wszystkie były jeszcze finalnymi kontraktami – część stanowiły listy intencyjne – ale to również jest ważny sygnał, bo pokazuje kierunek zaangażowania firm. Około 25 z tych porozumień dotyczyło polskich przedsiębiorstw. Przypomnę, że w konferencji uczestniczyło ok. 70 delegacji zagranicznych i 30 organizacji międzynarodowych. To pokazuje, że Polska ma realną szansę odegrać ważną rolę w procesie odbudowy Ukrainy.

Wracając do tych porozumień – jak polskie firmy, a szczególnie przedsiębiorstwa z Podkarpacia, mogą wykorzystać tę szansę? Czy nasz region jest przygotowany, aby odegrać ważną rolę w odbudowie Ukrainy?

Jeszcze przed konferencją w Gdańsku odbyło się spotkanie przygotowujące, czyli prekonferencja w Rzeszowie, z udziałem na-

eprasa.pl 5a679bdc79

FOT. BARBARA GALAS

– Jednym z pomysłów upamiętnienia ofiar jest Mur Pamięci z wiecznym ogniem – mówi Paweł Kowal, przewodniczący Koalicji Obywatelskiej na Podkarpaciu oraz szef sejmowej Komisji ds. Zagranicznych

szego premiera Tuska oraz pani premier Julii Swyrydenko. To właśnie wtedy mocno wybrzmiał temat współpracy w zakresie technologii dronowych. Od dawna zwracam uwagę, że na Podkarpacie trzeba patrzeć jak na współczesny Centralny Okręg Przemysłowy – region nowoczesnych technologii, innowacji i przemysłu. Wokół Jasionki działa wiele firm, które posiadają ogromne kompetencje, także w obszarze komponentów do dronów. Nie jest prawdą, że Polska nie ma tutaj nic do zaoferowania. Szczególnie Podkarpacie ma bardzo dużo możliwości, mamy firmy produkujące nowoczesne materiały, technologie i rozwiązania wykorzystywane w przemyśle obronnym. Oczywiście Ukraina ma jedno doświadczenie, którego my nie mamy – doświadczenie bezpośredniego pola walki. Natomiast w wielu obszarach to również polskie firmy dostarczają rozwiązania wykorzystywane w technologii dronowej z zakresu AI czy optyki. Przykładem są światłowody, które dziś mają ogromne znaczenie, ponieważ jednym z największych wyzwań w rozwoju dronów jest możliwość sterowania dużą ich liczbą na polu walki. Jednym ze sposobów rozwiązania tego problemu jest wykorzystanie właśnie technologii światłowodowej i takie rozwiązania są realizowane również w naszym regionie. To pokazuje, że Podkarpacie może być jednym z ważnych miejsc rozwoju technologii przyszłości.

Chciałabym zapytać o jeszcze jeden aspekt tej dyskusji – o informacje dotyczące obronności i bezpieczeństwa państwa. Czy nie odnosi Pan wrażenia, że dla części polityków walka polityczna i zdobywanie informacji stały się czasami ważniejsze niż odpowiedzialność za bezpieczeństwo Polski?

Byłem zaskoczony, że politycy tacy jak Krzysztof Bosak, który przecież nie ukrywa swoich ambicji związanych z polityką zagraniczną, czy były minister obrony Mariusz Błaszczak, zaczęli domagać się od obecnego rządu ujawniania bez limitu szczegółowych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa. Takich rzeczy po prostu się nie robi. Żaden rząd – niezależnie od tego, kto go tworzy – nie będzie publikował informacji dotyczących współpracy wojskowej z sojusznikami czy szczegółów działań obronnych jak zwykłych komunikatów w spółdzielni mieszkaniowej. Te informacje z natury rzeczy są objęte ochroną i podlegają określonym procedurom. O tym, co może zostać ujawnione, decyduje minister obrony narodowej. Myślę, że każdy obywatel rozumie, że tajemnice obronne państwa nie mogą być traktowane jak informacje codziennego użytku. To jest kwestia odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polski. Minister Kosiniak-Kamysz znalazł właściwe rozwiązanie – ujawnił tylko te informacje, które mogły zostać podane publicznie. I szybko okazało się, że wiele osób, które wcześniej atakowały rząd, również uczestniczyło w tych działaniach, bo najważniejsze było bezpieczeństwo państwa. Szczególnie w naszym regionie doskonale rozumiemy, że utrzymywanie Rosji jak najdalej od polskich granic jest sprawą fundamentalną. Możemy różnić się w ocenach historycznych, możemy twardo negocjować kwestie związane z przyszłym członkostwem Ukrainy w Unii Europejskiej, ale jednocześnie możemy i powinniśmy bardzo blisko współpracować w sprawach bezpieczeństwa militarnego. Te rzeczy się wzajemnie nie wykluczają. Nie potrzebujemy natomiast podgrzewania konfliktu między Polską a Ukrainą. W Europie Środkowej istnieją prawdziwe spory historyczne i są one dodatkowo wykorzystywane przez rosyjską propagandę. Dla Rosji to bardzo wygodne narzędzie, ponieważ bierze realne emocje i prawdziwe różnice, a następnie dokłada do nich fałszywe informacje. Sam spotykałem się z takimi atakami. W internecie pojawiały się absurdalne kłamstwa dotyczące moich przodków. To pokazuje mechanizm działania propagandy – istnieje jakiś prawdziwy temat wywołujący emocje, na przykład spór historyczny między Polakami i Ukraińcami, a następnie ktoś dodaje do niego wymyślone informacje i rozpowszechnia je dalej. To jest właśnie istota wojny informacyjnej. Chodzi o to, aby wykorzystać istniejące podziały i jeszcze bardziej skłócić społeczeństwa. Dlatego musimy być na to szczególnie odporni i ostrożni.

Wróćmy jeszcze na chwilę na Podkarpacie. Podczas ostatnich wizyt razem z ministrem sportu Jakubem Rutnickim odwiedził Pan między innymi Tarnobrzeg, Stalową Wolę, ale także niewielką miejscowość Grabówka w gminie Dydnia. Dlaczego akurat to miejsce było dla Pana tak ważne?

Zależało mi na wizycie w Grabówce i gminie Dydnia, bo to miejsce ma pewien symboliczny wymiar. Dydnia jest często wskazywana jako jedna z najbiedniejszych gmin w Polsce, ale kiedy się tam przyjeżdża, widać coś zupełnie innego – zadbane domy, piękne gospodarstwa i ludzi, którzy bardzo dbają o swoje otoczenie. To pokazuje, że sytuacja ekonomiczna nie odbiera mieszkańcom ambicji i zaangażowania. To także zasługa lokalnych władz – wójta i jego zastępcy, którzy bardzo dobrze pracują na rzecz mieszkańców. Kiedy minister sportu zapytał mnie, które miejsce odwiedzić, zobaczyłem na liście Grabówkę, która otrzymała środki na remont szatni, ale potrzebowała również wsparcia przy budowie i modernizacji boiska. Pomyślałem wtedy, że właśnie tam warto pojechać. Chcemy pomóc, aby powstał obiekt spełniający odpowiednie standardy – z nowoczesną szatnią, boiskiem i trybuną. I tak będzie. To miejsce ma ogromny potencjał, bo działa tam bardzo zaangażowana grupa młodych zawodników. Dzieci i młodzież chcą trenować, mają pasję i zasługują na dobre warunki. Drugim ważnym punktem tej wizyty była Stalowa Wola. Tam sport, szczególnie tenis, jest częścią lokalnej tożsamości – podobnie jak huta. Mieszkańcy mają ogromne przywiązanie do tej dyscypliny, dlatego bardzo się cieszę, że udało się pozyskać dla miasta dużą dotację na rozwój infrastruktury tenisowej. Dla mnie bardzo ważne i wzruszające było spotkanie z ludźmi, którzy przez lata osiągali sukcesy sportowe i którzy pokazali, jak wielkie znaczenie ma dla nich tenis. Modernizacja kortów pozwoli kolejnym pokoleniom rozwijać tę tradycję i kontynuować sportową historię Stalowej Woli.

Podczas tej samej wizyty odwiedził Pan również Tarnobrzeg. To była trochę spontaniczna wizyta, ale okazała się chyba bardzo ważna. Trafiliście nad Jezioro Tarnobrzeskie i zobaczyliście miejsce, które wymaga wsparcia.

Mieliśmy wcześniej zaplanowane spotkanie, ale zabrakło nam czasu, żeby pojechać do Baranowa, więc zostaliśmy w Tarnobrzegu. Ktoś zaproponował, żebyśmy podjechali nad Jezioro Tarnobrzeskie – pojechaliśmy tam razem z ministrem sportu Jakubem Rutnickim. Weszliśmy do jednego z budynków i okazało się, że znajduje się tam siłownia. To było bardzo ciekawe doświadczenie, bo z jednej strony miejsce było świetnie prowadzone – czyste, zadbane, z bardzo zaangażowanymi trenerami i młodzieżą, która ma ogromną pasję. Z drugiej strony warunki techniczne były dalekie od tego, na co zasługują ci ludzie. Zimą ogrzewają to miejsce zwykłą kozą, co pokazuje, jak bardzo potrzebne jest wsparcie. Dlatego chcemy pomóc, aby ta mała, skromna siłownia kajakarzy nad Jeziorem Tarnobrzeskim mogła stać się nowoczesnym, profesjonalnym obiektem. Będziemy wspierać ich w przygotowaniu wniosku do programu Ministerstwa Sportu. Mam nadzieję, że wkrótce uda się dopiąć wszystkie formalności razem z władzami Tarnobrzega i przeprowadzić taką małą sportową rewolucję. Uważam, że sport jest jednym z obszarów, które musimy mocniej rozwijać na Podkarpaciu. Cieszę się, że już niedługo w Rzeszowie zostanie otwarte ogromne Centrum Lekkoatletyczne. To pokazuje kierunek, w którym chcemy iść. Naszym celem jest także rozwój Podkarpacia jako nowoczesnego regionu przemysłowego – można powiedzieć, odbudowa idei Centralnego Okręgu Przemysłowego w nowoczesnej formie. Ale żeby zatrzymać tutaj ludzi, szczególnie młodych, nie wystarczy tylko tworzyć miejsca pracy. Potrzebna jest także dobra infrastruktura sportowa, kulturalna i społeczna. Chcemy, aby osoby studiujące w Rzeszowie, a także młodzi ludzie z całego regionu, zostawali tutaj, pracowali i rozwijali się czy to w firmach wokół Jasionki, czy w Stalowej Woli i innych miejscach Podkarpacia. Musimy sprawić, aby życie w naszym regionie było atrakcyjne nie tylko zawodowo, ale także poza pracą.

Już za rok wybory parlamentarne. Jaki plan ma Koalicja Obywatelska dla Podkarpacia?

Ostatnio bardzo dokładnie analizowaliśmy nasze działania na Podkarpaciu. Mój plan, który uzgodniłem ze współpracownikami i innymi parlamentarzystami, jest prosty – być obecnym w każdej gminie. Chcemy docierać nie tylko do dużych miast czy powiatów, ale rozmawiać z mieszkańcami lokalnie, tam gdzie żyją na co dzień. To jest strategia oparta na bezpośrednim kontakcie z ludźmi. Można tworzyć wielkie programy i skomplikowane plany, ale moje doświadczenie pokazuje, że najważniejsza jest obecność i rozmowa. Ostatnie wizyty, między innymi w Jaśle czy Sanoku, pokazały mi, jak wiele można zdziałać, spotykając się z mieszkańcami na poziomie gminy. Tam najlepiej widać realne problemy, potrzeby i oczekiwania ludzi. Dlatego jesteśmy blisko mieszkańców całego Podkarpacia. ©℗

eprasa.pl 5a679bdc79

KOLEJ

Lato zamienia kolej w pole bitwy. Pociągi pękają w szwach, nerwy też!

Lato do dla kolei prawdziwy tor przeszkód. Tłumy w pociągach, brak miejsc, zepsuta klimatyzacja, zaduch, gigantyczne opóźnienia. Podróżni tracą cierpliwość i miażdżą pociągi w komentarzach. Czy zawsze słusznie?

Agnieszka Domka-Rybka

Takie sceny rozgrywają się latem w całej Polsce, ale zacznijmy od Kujawsko-Pomorskiego.

- Czekałam na pociąg relacji Jabłonowo Pomorskie - Toruń. Opóźnienie przekroczyło trzy godziny. Było gorąco i duszno, a pasażerowie, w tym osoby starsze, zostali pozostawieni sami sobie, nie było nawet dostępu do wody i toalety - nie kryła oburzenia pasażerka, która znalazła się wśród czekających na pociąg na dworcu w Jabłonowie. - Najbardziej bulwersujące jest jednak nie samo opóźnienie, ale całkowity brak informacji i organizacji. Jeden z pociągów PKP Intercity został odwołany po tragicznym zdarzeniu na torach, jednak pasażerowie nie otrzymali rzetelnych komunikatów. Pociąg Polregio miał ponad trzy godziny opóźnienia, a mimo to nie zorganizowano komunikacji zastępczej i nie zapewniono podstawowej opieki dla podróżnych. Tak nie traktuje się klientów, którzy płacą za usługę.

Tak to widzi pasażerka, a jak koleje?

FOT. TOMASZ DERESZYŃSKI

Tłum naciera na pociągi. Takie sceny w wakacje to, niestety, codzienność. Każdy chce gdzieś dojechać

Tragedia na torach uruchamia procedury, podróżni czekają

- Rzeczywiście, ta sytuacja była spowodowana wypadkiem, wtargnięciem osoby pod nadjeżdżający pociąg - wyjaśnia po naszej interwencji zespół prasowy Polregio (regionalny przewoźnik kolejowy). - Przerwa w ruchu została wprowadzona na żądanie służb. Zawsze w takich przypadkach podejmujemy działania, aby zapewnić podróżnym komunikację zastępczą. W niektórych sytuacjach losowych mogą jednak wystąpić problemy z pozyskaniem autobusów. Zewnętrzni przewoźnicy dysponują ograniczoną liczbą pojazdów oraz kierowców. Tak było właśnie w tym przypadku. Skład ruszył w dalszą drogę dopiero po wydaniu zgody przez prokuratora.

Z kolei infrastruktura kolejowa leży w gestii PKP PLK.

Agnieszka Jurewicz z wydziału prasowego spółki odpowiada, że poczekalnia w Jabłonowie Pomorskim jest dostępna dla pasażerów, a przenośna toaleta znajduje się tuż przy budynku dworca: - Nie ma automatu vendingowego, gdzie można byłoby nabyć wodę lub przekąskę, ze względu na brak zainteresowania komercyjnego, żeby go na tym dworcu zamontować.

Trudno oczekiwać od podróżnych spokoju w sytuacji, gdy ich pociąg spóźnia się kilka godzin. Jednak warto podkreślić, jakie obowiązują zasady, gdy dochodzi do samobójstwa na torach lub ktoś ginie przechodząc na „dzikim przejściu".

Według danych Urzędu Transportu Kolejowego, wypadki z udziałem pieszych poza przejazdami stanowią największą liczbę tragedii - to ponad 150 ofiar rocznie.

Po potrąceniu człowieka, maszynista natychmiast zatrzymuje pociąg, używając sygnału radio-stop (w razie zagrożenia dla innych torów) i włącza procedury alarmowe. On lub dyżurny ruchu powiadamiają pogotowie ratunkowe, policję, straż pożarną oraz odpowiednie organy, takie jak Państwowa Komisja Badania Wypadków Kolejowych. W przypadku odnalezienia poszkodowanego, służby medyczne lub straż pożarna podejmują akcję ratunkową. Miejsce zdarzenia jest zabezpieczane. Dalsze decyzje, w tym o wznowieniu ruchu, podejmowane są po przeprowadzeniu czynności przez prokuratora lub policję. Cała akcja może potrwać nawet kilka godzin.

Nie tak dawno, w zeszłym tygodniu, jeden z podróżnych nie przebierał w słowach na facebookowej grupie „PKP Intercity. Pociąg do podróży". Skład, na który czekał na dworcu kolejowym, był opóźniony o prawie dwie godziny.

„Jeszcze nie wystartował ze stacji początkowej, a już ma takie opóźnienie. Nawet nie chcę myśleć, ile to będzie godzin w całej podróży. Wstyd PKP Intercity. Brakuje konkurencji, żeby zacząć szanować pasażerów".

Jaka była odpowiedź komentujących ten wpis?

„Człowieku, opanuj się. Samobój na trasie. Lepiej jak nie wyjedzie niż ma potem stać w szczerym polu. Na dworcu sobie kawkę pijesz, a tam jakaś rodzina przeżywa tragedię".

Inna pasażerka opisuje swoją sytuację: „Napisałam reklamację na 400 minut opóźnionego pociągu, który i tak w dalszej trasie został wstrzymany. Zwróciłam się o zwrot kosztów za bilet. Najpierw była awaria trakcji, potem dwa zdarzenia z udziałem człowieka . Pech, trafiło na ten jeden pociąg. Otrzymałam odmowę, w PKP IC powołali się na zdarzenie losowe i pieniędzy mi nie oddali".

Dlaczego na kolei występują opóźnienia? Szerzej spojrzała na to pani Martyna na wspomnianej grupie kolejowej: „To jedna z najczęstszych frustracji pasażerów. Gdy stoimy na peronie i słyszymy komunikat o „kilkunastominutowym opóźnieniu", łatwo obwinić przewoźnika. W rzeczywistości system kolejowy to skomplikowana sieć zależności, w której bierze udział wiele podmiotów - nie zawsze za problem odpowiada firma obsługująca pociąg".

Podaje kilka przykładów. Pociągi to zaawansowane technologicznie maszyny, a infrastruktura kolejowa obejmuje tysiące kilometrów torów, rozjazdów, urządzeń sterowania ruchem i sieci trakcyjnej. Awaria lokomotywy, uszkodzenie drzwi czy problem z systemem sterowania mogą zatrzymać skład. Mróz blokujący rozjazdy, śnieżyce, burze, silny wiatr czy upały powodujące rozszerzanie się szyn - to wszystko wpływa na prędkość jazdy. W trudnych warunkach maszynista musi jechać wolniej, by zachować bezpieczeństwo. Na pogodę nikt nie ma wpływu, dlatego w takich sytuacjach opóźnienia są często nieuniknione.

Trzeba też wspomnieć o modernizacjach linii kolejowych. Pozwalają one w przyszłości skrócić czas przejazdu i zwiększyć komfort podróży. Jednak w trakcie prac często zamyka się jeden tor lub wprowadza ruch wahadłowy, co ogranicza przepustowość linii. Ponadto na jednej linii mogą kursować pociągi różnych przewoźników - dalekobieżne, regionalne i towarowe, np. PKP Intercity czy Polregio. Jeśli jeden skład się spóźni, kolejne muszą czekać na wolny tor. Ruch kolejowy jest ściśle kontrolowany przez dyspozytorów i centra sterowania, a decyzje o pierwszeństwie przejazdu nie zawsze zależą od przewoźnika.

Co na to inni pasażerowie? „Myślę, że dobrze jest ludziom tłumaczyć. Kolej to taka sieć, że jak coś stanie się w jednym miejscu, konsekwencje odczują też podróżni pociągu znajdującego się kilkadziesiąt kilometrów dalej. Problem w jednym składzie może wygenerować opóźnienia pięciu czy ośmiu kolejnych. Widać dużo pozytywnych zmian na kolei. Z drugiej strony, w dniach najbardziej zimowych wszystkie pociągi dalekobieżne spóźniały się po sto, dwieście, a nawet ponad czterysta minut. Regionalne jeździły całkiem nieźle. Podejrzewam, że dalekobieżne nabierały tego opóźnienia właśnie w tych województwach, gdzie zima uderzyła ze zdwojoną siłą, ale faktycznie trochę frustrujące było patrzenie na tablicę odjazdów".

Prawa pasażerów pociągów

Nie zmienia to faktu, że jednak to lato jest dla kolei sezonem najwyższej próby. Upały dają pociągom niezły wycisk, a pasażerowie nie gryzą się w język. Bo tłumy, brak miejsc, nie działa klimatyzacja, pociągi łapią gigantyczne opóźnienia.

PKP Intercity odpowiada u nas za dalekobieżne przewozy pasażerskie. Michał Wrzosek, rzecznik spółki, przypomina, jakie prawa mają podróżni: - Każdy może złożyć reklamację. Wniosek składa się w jednej z kas biletowych, za pośrednictwem poczty lub przez formularz dostępny na stronie intercity.pl. Reklamacje rozpatrywane są indywidualnie, w terminie do 30 dni. Ze względu na upały pasażerowie, którzy chcą zrezygnować z przejazdu, mogą zwrócić bilet bez potrącania odstępnego. Zabezpieczamy także zapasy wody na większych stacjach i we wszystkich pociągach dalekobieżnych.

I na koniec taka refleksja. Oczywiście, opóźnienia potrafią zirytować, ale najważniejsze, żeby podróż zakończyła się bezpiecznie. Czyż nie?©℗

eprasa.pl 5a679bdc79

SPRAWA IWONY WIECZOREK

Prokurator o sprawie Iwony Wieczorek: „Nie dam nigdy gwarancji, że zostanie rozwiązana...”

16 lat temu zaginęła Iwona Wieczorek. Prokurator Eryk Stasielak, naczelnik Małopolskiego Wydziału Prokuratury Krajowej i szef „Archiwum X”, wspólnie z policjantami próbujące ustalić, co 17 lipca 2010 r. spotkało 19-latkę

Jacek Wierciński

Zaplanowana, starannie zatuszowana zbrodnia, jakiś tragiczny w skutkach wypadek, czy przypadkowe zdarzenie, które ktoś ukrył? A może udział w zniknięciu znajomych, czy wręcz bliskich Iwonie Wieczorek osób... Mija 16 lat od zaginięcia, a otwarte wydają się wszystkie te możliwości i scenariusze. Jesteśmy dziś bliżej prawdy, o tym co się stało?

Zdaję sobie sprawę, że rocznica istotna jest dla rodziny Iwony, mediów i opinii publicznej, bo przecież sprawa wciąż cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Natomiast rocznica w żaden sposób nie determinuje naszej pracy i nie ma znaczenia z perspektywy śledztwa. Prowadzimy je, robimy swoje, wykonujemy czynności, które sobie zaplanowaliśmy i planujemy.

W lipcu pracujemy nad wyjaśnieniem tej sprawy tak jak w grudniu, czy kwietniu. Czy jesteśmy bliżej?

Na pewno niektóre wersje przebiegu zdarzeń oraz tak zwane wersje osobowe, a więc potencjalnie odpowiadające na pytania o rolę, motyw i udział danej osoby w przestępstwie, zostały wyeliminowane.

Może pan powiedzieć jakie? 2,5 roku temu wiele tygodni zajęło przeszukanie dawnej Zatoki Sztuki w Sopocie, ze sprawdzaniem metr po metrze każdego pomieszczenia i otaczającej plaży. Włącznie z przesiewaniem piasku. Możecie wreszcie powiedzieć: „niczego powiązanego ze sprawą zaginięcia Iwony Wieczorek nie znaleźliśmy?”

Nie. Mogę powiedzieć, że na pewno wszystkie odrzucone scenariusze przybliżają nas do rozwiązania. Niestety, na obecnym etapie nie mogę ujawnić więcej, a w żadnym wypadku nie powiem kogo te wersje dotyczyły.

Słowo „przełom” wiele, wiele razy czytaliśmy w tym roku w medialnych nagłówkach, ale nie pan go używał. Dziś też go pan nie wypowie?

Na pewno nie dzisiaj. Mogę potwierdzić, że wykonujemy intensywne czynności, że pojawiły i pojawiają się nowe fakty i dowody, które będziemy badać. Nie mogę przesądzać, jaki będzie tego rezultat. Dowiemy się dopiero w momencie, gdy zakończymy działania. Słowo „przełom” adekwatne jest dla momentów rzeczywiście przełomowych - ustalenia biegu zdarzeń, wskazania sprawcy lub sprawców, czy wręcz udowodnienia winy.

FOT. TOMASZ BOLT/ARCHIWUM

Zdjęcie na ulicznym słupie stało się symbolem dramatycznej tajemnicy zaginięcia Iwony Wieczorek

W pana przekonaniu jesteśmy blisko poznania prawdy w tym śledztwie?

Zapewniam, że robimy wszystko, by ustalić co się stało i rozwiązać tę sprawę. Natomiast ja nie używam tutaj dziś słowa „przełom”.

W styczniu mówił mi pan, że jako wiodącą wersję traktujecie śmierć zaginionej i zakładacie odnalezienie ciała, nie żywej osoby, bo po tylu latach naprawdę trudno wyobrazić sobie, że zaginiona żyje. To zapewne się nie zmieniło, ale czy posunęliście się naprzód?

Kilka tygodni temu były wykonywane na Pomorzu dosyć znaczące czynności, m.in. z użyciem georadaru. Udało się jakoś je wykonać spokojnie, bez medialnych rewelacji i zakłóceń. To w żaden sposób nie było powiązane z rocznicą, bo jak wspomniałem nie determinowała tego co robiliśmy i dalej będziemy robić w sprawie.

Możemy powiedzieć, że szukaliście ciała?

Szukaliśmy ciała i innych artefaktów, które mogą mieć związek z zaginięciem Iwony.

Znaleźliście coś? Może pan potwierdzić albo zaprzeczyć?

Nie mogę ujawnić tego, czy coś znaleźliśmy, bo to mogłoby zagrozić bezpieczeństwu czynności, które planujemy. Potwierdzić mogę tylko, że ciało Iwony nie zostało odnalezione, a działania mające na celu jego odnalezienie będą kontynuowane.

Z użyciem georadaru?

Jednym z bardzo przydatnych narzędzi w naszej pracy jest georadar i z całą pewnością będzie używany również w przyszłości.

Co jeszcze działo się w tym postępowaniu? Wiosną wskazywał pan, że prowadzący śledztwo Tomasz Boduch na bieżąco jeździ do Trójmiasta i prowadzi intensywne czynności, m.in. przesłuchuje wielu świadków.

Cały czas jeździ i cały czas są przesłuchiwani świadkowie. W Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji powołany został specjalny zespół, którym kieruje prokurator Boduch. W dalszym ciągu trwa bardzo intensywna praca funkcjonariuszy. Są wykonywane również czynności w terenie. Być może jesienią będziemy mogli powiedzieć na ten temat coś więcej, ale nie mogę tego obiecać, dlatego że sytuacja jest płynna i dynamiczna. Śledztwo to żywy organizm, a nowe ustalenia mogą popchnąć je naprzód. W lutym pojawił się nowy dowód materialny. On w dalszym ciągu jest w orbicie naszego zainteresowania i podejmujemy związane z nim czynności.

Konsekwentnie mówicie tylko o „dowodzie materialnym”. Długo na nią czekaliście i ostatnio otrzymaliście wreszcie opinię biegłego na jego temat, ale nie informujecie nawet oględnie z jakiej dziedziny, np. czy chodzi o biochemię, informatykę.

Ten dowód ma związek bezpośrednio z czasem, kiedy Iwona po raz ostatni była widziana w parku Reagana.

Jakiś element stroju? Coś, co niosła ze sobą?

Naprawdę, na obecnym etapie nie mogę powiedzieć więcej.

Ponad pół roku temu ogłosiliście, że szukacie białego fiata, który „przemieszczał się 17 lipca 2010 roku o godzinie 5.07 w Gdańsku w rejonie Parku Reagana”, a następnie trasą: Rumia - Reda - okolice Pucka? W marcu mówił mi pan o kilkudziesięciu zgłoszeniach. Coś z nich wynikło?

Wiele z nich okazało się bezużyteczne z perspektywy naszego śledztwa. Pojawiła się nawet osoba, która twierdziła, że przystępuje do wykopywania ciała Iwony, bo wie gdzie ono się znajduje. Oczywiście to się nie potwierdziło.

Ale też sprawdzaliście?

Tak. Nie ignorujemy żadnego. Trzeba jednak mieć świadomość, że ta sprawa wciąż jest bardzo popularna i cieszy się ogromnym zainteresowaniem, więc różne osoby się do nas zgłaszają i różne rzeczy nam przekazują.

Takich ślepych uliczek było więcej?

Zgłoszeń było bardzo wiele. Żadnych z góry nie deprecjonujemy. Wszystkie staramy się zbadać. Czy któreś przyniosły rezultat? Trudno powiedzieć na obecnym etapie. Prowadząc takie śledztwo staramy się wykorzystywać wszystkie możliwości, żeby tę sprawę rozwiązać. Weryfikujemy każdą nową informację na bieżąco. Pewnie dokłada nam to pracy, ale prowadzenie śledztwa z kategorii „Archiwum X” jest jak szukanie igły w stogu siana. Dlatego a priori niczego nie odrzucamy. Wszystko staramy się sprawdzić.

Czy ktoś jest w stanie się w tym wszystkim połapać? Przez te 16 lat akta sprawy musiały rozrosnąć się do niebotycznych rozmiarów, ich tomy można pewnie liczyć w dziesiątkach, a przesłuchanych świadków w setkach?

Nie potrafię odpowiedzieć na to ostatnie pytanie. Na pewno w aktach pojawiają się tysiące osób, nazwisk, dat i danych, a materiał dowodowy jest bardzo obszerny. Proszę zauważyć, że na różnych etapach postępowanie prowadziły różne jednostki i co najmniej kilku prokuratorów. Staramy się działać metodycznie. W sytuacji, kiedy zamykamy jedną wersję, bo stwierdzamy, że materiał dowodowy wskazuje na to, że jest mało prawdopodobna, przechodzimy do kolejnej wersji i rozwijamy czynności dowodowe w tym kierunku. To cały czas trwa, sprawa żyje i będziemy dalej pracować w tym kierunku, by ją rozwiązać. Pan prokurator Boduch przebił się przez ten materiał, poukładał i uporządkował ustalenia, poczynił pewne założenia, wytyczył kierunki tego śledztwa.

Jakiś plan tego śledztwa przecież istnieje.

Tak. Oczywiście istnieje, choć nie mogę szerzej mówić na ten temat. Jest on systematycznie i metodycznie realizowany.

Na jakim etapie jesteśmy obecnie? Krok od poznania prawdy? Przed nami dłuższy spacer?

Wykonujemy swoje czynności i wierzymy w to, co robimy. Natomiast nigdy nie dam gwarancji, że ta sprawa zostanie rozwiązana i to powinno wybrzmieć jasno. Deklaracja pewności, że sprawa zostanie wyjaśniona byłaby nieuczciwa w stosunku do opinii publicznej. Mogę zagwarantować tyle, że zrobimy wszystko, by tę sprawę rozwiązać.

Powiedział pan, że rocznica to dzień pracy jak każdy inny, ale czy powinniśmy spodziewać się czegoś w najbliższych tygodniach?

Na pewno tego, że będziemy nad sprawą pracować. Jaki to przyniesie rezultat - zobaczymy.

Nie brzmi to zbyt optymistycznie, wynika ze skomplikowania tej sprawy?

Robimy, co w naszej mocy, ale jak wspomniałem wcześniej nie mogę niczego zagwarantować. Zdarzają się sprawy, gdzie mamy do czynienia z osobami zaginionymi, wszystko wskazuje, że nieżyjącymi, ale nie mamy ciała. To generalnie są bardzo trudne postępowania, dlatego, że mamy ograniczone możliwości dowodowe. Jeżeli mamy ciało jesteśmy z reguły w stanie ustalić przyczynę zgonu, a na tej podstawie zrekonstruować, jak do niego doszło i kto mógł być sprawcą. W tym przypadku jesteśmy tego pozbawieni. Nie ułatwia to naszej pracy, ale nie zmienia faktu, że wierzymy w to, że tę sprawę rozwiążemy.

eprasa.pl 5a679bdc79

IMIGRANCI ZAROBKOWI W POLSCE

Miks(tat) Polaków i cudzoziemców

To jedno z najmniejszych wielkopolskich miast, według GUS liczy 1643 mieszkańców. Według innych danych tego samego GUS przebywa tam też 1850 cudzoziemców. Burmistrz mówi, że są kłamstwa i statystyki, ale przyznaje, że cudzoziemców jest wielu. Sprawdziliśmy, co sądzą na ten temat mieszkańcy

Nie każdy Wielkopolanin z łatwością wskaże na mapie Mikstat. Jadąc od Poznania w kierunku Katowic drogą krajową nr 11 trzeba w Antoninie, obok słynnego pałacu myśliwskiego Radziwiłłów, skręcić na wschód. Po kilku kilometrach, w dolinie wśród Wzgórz Ostrzeszowskich wyrośnie przed nami niewielkie miasteczko. Niemieckobrzmiąca nazwa pochodzi jeszcze ze średniowiecza. Komorów niemieccy kupcy przechrzcili na Mückestadt – miasto komarów. W uproszczonej formie przetrwała nawet zmiany po 1945 r.

Gdy 1 lipca Główny Urząd Statystyczny opublikował nowe dane o populacji Polski i liczebności cudzoziemców Mikstat znalazł się w centrum uwagi. Według GUS w żadnym innym mieście w Polsce liczba obcokrajowców nie przekraczała liczby Polaków. W całej gminie było to niemal 30 proc.

– Są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyki – mówi burmistrz Henryk Zieliński. – Z naszych danych wynika, że gmina ma 6000 mieszkańców, w tym 1000 obcokrajowców.

Zieliński jest burmistrzem od 2014 r., startował wówczas z listy PSL-u. W wyborach w 2018 i 2024 r. startował z własnego komitetu, nie miał kontrkandydatów. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. zwyciężył w Mikstacie PiS, zebrał 57,3 proc. głosów, w 2019 r. – 64,5 proc.

Jak mówi burmistrz, pierwsi cudzoziemcy w Mikstacie pojawili się jeszcze przed jego rządami. Ale ich liczba powoli, ale stale rosła. Większość z nich trafiła tu do pracy w miejscowym zakładzie przetwórstwa drobiu. Dziś ściąganiem kolejnych zajmują się agencje pracy tymczasowej, z których jedna posiada w miasteczku niewielkie biuro. To właśnie w Mikstacie kolejni obcokrajowcy załatwiają formalności – uzyskują numer PESEL, zaczynają płacić podatki czy korzystać z ubezpieczeń zdrowotnych czy społecznych. – Może to stąd takie wysokie liczby wg GUS – zastanawia się Zieliński. Jak podkreśla, część z ich przyjeżdża na chwilę, część wyjeżdża dalej w Polskę, niewielu zostaje na stałe. – Przyjeżdżają, by zarobić – mówi.

Na pytanie jak się żyje w Mikstacie z tak dużą liczbą cudzoziemców, burmistrz odpowiada: „dobrze". – Mieszkańcy na tym korzystają, a cudzoziemcy nie wchodzą w konflikty z nimi.

Korzystają przede wszystkim wynajmujący nieruchomości. Korzystają też miejscowe firmy: z taniej pracy. Boomu inwestycyjnego w Mikstacie jednak nie ma. Ale zdaniem burmistrza nie ma też problemów z obcokrajowcami.

– Są w takiej pozytywnej interakcji z mieszkańcami. Mają swoje imprezy integracyjne organizowane przez agencję pracy, ale biorą też udział w naszych imprezach i doskonale się bawią. Wie pan jaką radość daje widok nepalskiego dziecka w stroju krakowskim?

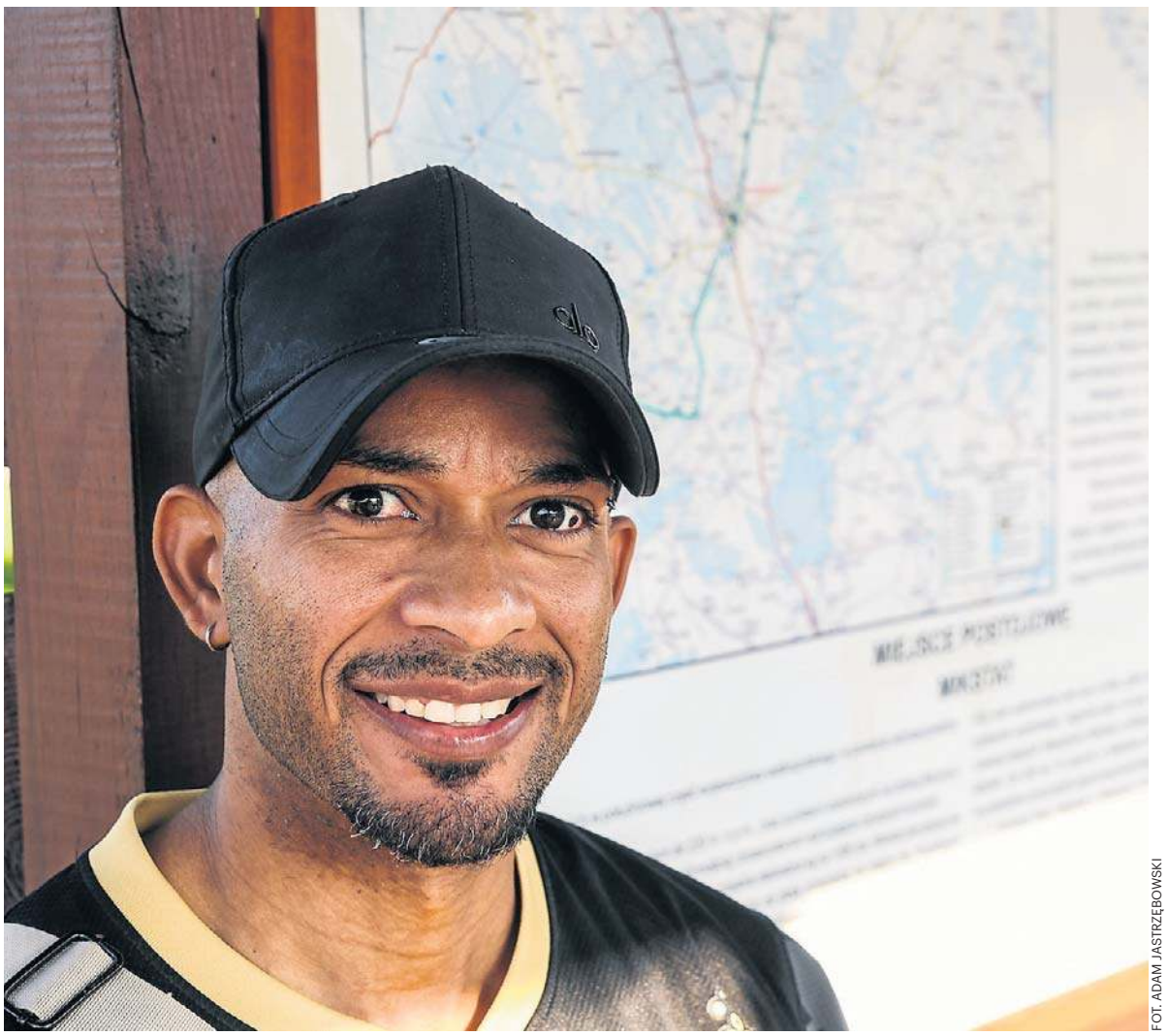

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Jorge na razie nie myśli o pozostaniu w Polsce. Tęskni za rodziną, w tym swoim synem. Wysyła im zarobione w Mikstacie pieniądze

Z danych gminy wynika, że na różnych szczeblach uczy się tu 14 cudzoziemskich dzieci.

Problemy? Czasem w weekend, gdy nie pracują, bywa głośniej, gdy urządzą grilla. W pandemii burmistrz poprosił policję o dodatkową obecność – prewencyjnie – jak podkreśla. Mówi, że w statystykach policji nie widać większej przestępczości. – Największym problemem jest to, że gminny turniej na orliku wygrywają Kolumbijczycy – śmieje się burmistrz.

– Są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyki. Z naszych danych wynika, że gmina ma 6000 mieszkańców, w tym 1000 obcokrajowców
HENRYK ZIELIŃSKI
burmistrz Mikstatu

Magdalena Hańdziuk, rzeczniczka ostrzeszowskiej policji, informuje nas, że w latach 2020-25 odnotowano niewielki wzrost liczby przestępstw, wykroczeń oraz podejmowanych interwencji na terenie gminy Mikstat. W 2025 r. stwierdzono tam 58 przestępstw, z czego 9 (15,5 proc.) popełnionych przez cudzoziemców, w tym dwa włamania, jedną kradzież, jedno znęcanie się nad rodziną. Pozostałe, podobnie jak wykroczenia, dotyczą ruchu drogowego.

Można się dogadać

Słowa burmistrza potwierdzają mieszkańcy, z którymi rozmawiamy przy mikstackim rynku. Niewielu chce rozmawiać pod imieniem i nazwiskiem – to małe miasto, wszyscy się znają – ale przyznają, że problemów generalnie nie ma.

– Mieszkają w co drugim domu na mojej ulicy. Nie mam z tym problemu, na razie czuję się bezpiecznie. Między innymi dlatego, że znam sąsiadów - mówi młoda kobieta, którą spotykamy w pobliżu rynku.

– Nie jest źle, przyzwyczailiśmy się – mówią sprzedawca w małym sklepie i jego kolega.

Mężczyźni dzielą się plotkami – „ponoć" w ostatnim czasie wzrosła liczba kradzieży w sklepach – tu ktoś nie zapłaci za kawę, tu zniknie piwo, gdy ekspedientki nie ma w pobliżu. Ale wyjście wieczorem z domu, spotkanie na orliku, czy posiedzenie na rynku – jak mówią – to żaden problem. – Dawniej było gorzej, gdy dominowali Mołdawianie i Ukraińcy. Lubili popić, zdarzały się konflikty, zdarzało się, że szukali zaczepki. Ci nowi – Latynosi, Nepalczycy, Filipińczycy, Indonezyjczycy – są bardzo grzeczni i bezkonfliktowi.

Do rozmowy dołącza Arek, który nieco wcześniej skończył swoją ostatnią przed urlopem zmianę w przetwórni drobiu i jest w dobrym humorze. Po chwili przedstawia się jako były żołnierz Wojska Polskiego, który stacjonował na granicy polsko-białoruskiej zabezpieczając ją przed nielegalną imigracją.

– Gdybyśmy mieli uwagi, to byśmy narzekali. Oni są tu po to, by pracować. Wszyscy są tu l e g a l n i e – prosi, by to podkreślić. – I pracują ciężko, nie po 8, a po 12-14 godzin. Robią ciężką robotę, której Polacy nie chcą się podjąć za takie pieniądze, po tyle godzin i w takich warunkach.

Jak mówi, wielu przyjeżdża do Polski, do Mikstatu z biedy. Z tego co zarobią w naszym kraju, oszczędzają, by wysłać do rodzin w krajach pochodzenia. Część mieszka w kwaterach zorganizowanych przez agencję pracy, czasem po kilku w jednym pokoju. Inni najmują grupowo domy w Mikstacie. Zakupy? Raczej tylko w lokalnych sklepach. Wyjazdy poza miasteczko – rzadko – nad pobliskie jezioro, do centrum handlowego w Ostrowie. Najważniejsze rozrywki? Dla Latynosów piłka nożna. – To inna piłka – śmieje się Arek. – Próbowaliśmy z nimi grać, ale my bardziej fizyczni jesteśmy. „Laga na Robercika" z nimi nie działa.

Tak jak na boisku, tak na zakładzie, z „nowej" imigracji z ostatnich

237 tysięcy w Wielkopolsce
Z badania wynika, że w Wielkopolsce przebywa 180 tysięcy osób więcej, niż wg danych dotyczących mieszkańców. 237 tysięcy stanowią cudzoziemcy. Liczbowo jest ich najwięcej na terenie gmin Kalisz, Swarzędz, Leszno (8,8 tys.), Tarnowo Podgórne (10 tys.) i Poznań (74 tys.). Procentowo w gminach: Mikstat (29,84 proc.), Tarnowo Podgórne (23,22 proc.), Wronki (15,4 proc.), Kępno (14,9 proc.) i Sieraków (14,5 proc.).

eprasa.pl 5a679bdc79

MISTRZOWIE MOTORYZACJI

BMW E39 530i, 2002, Krzysztof Jackowski

Triumph Bonevil Bobber, 2017, Marcin Cheda, Iłża

Targi Kielce
exhibition & congress centre
DUBIT
MOTO SALON
motofakty.pl

eprasa.pl 5a679bdc79

PLEBISCYT ZA NAMI GALA OGÓLNOPOLSKA PODCZAS WIELKIEJ IMPREZY - ROTINGER DUB IT FESTIVAL

Nagrodziliśmy Mistrzów Motoryzacji 2026

ZDJĘCIA: MIKOŁAJ OPATOWSKI

11 lipca w Targach Kielce nagrodziliśmy laureatów plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji 2026, organizowanego przez Polska Press Grupę.

Ogólnopolska gala finałowa odbyła się podczas wielkiej imprezy w Targach Kielce - Rotinger Dub It Festival, która przyciągnęła tysiące pasjonatów luksusowych, stuningowanych samochodów, klasyków i motocykli.

Wśród nich znaleźli się laureaci plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji 2026, którzy odebrali swoje nagrody i tytuły na scenie.

- To pasja, która wymaga dużo pracy i środków finansowych, ale przynosi dużo satysfakcji - mówił podczas wydarzenia Przemysław Milczarek, właściciel Porsche 911 z 1985 roku, które wygrał w kategorii Fura Roku.

Oto laureaci ogólnopolskiej akcji Mistrzowie Motoryzacji 2026

Mistrz Motoryzacji: I miejsce: Kacper Kozicki - Chery G&G Auto, Lublin (woj. lubelskie), II miejsce: Łukasz Szyjka - Nauka Jazdy Moto Szkoła, Oświęcim (woj. małopolskie), III miejsce: Paweł Bondar - Uniwersytecki Szpital Kliniczny, Białystok (woj. podlaskie), IV miejsce: Bernadeta Ohs - PKM, Gdynia (woj. pomorskie), V miejsce: Mariusz Piechowski - M - AUTO Service, Opole (woj. opolskie), VI miejsce: Wojciech Jarnot - KIA Patecki, Kraków (woj. małopolskie), VII miejsce: Przemysław Koziorzemski - Auto Mechanik Koziorzemski, Pawłówek (woj. kujawsko-pomorskie), VIII miejsce: Adrian Żemojcin - Volkswagen Chylińscy, Warszawa (woj. mazowieckie), IX miejsce: Albert Tarnawski - OSK Magic Ride, Jarosław (woj. podkarpackie), X miejsce: Robert Koźlakowski - Auto Serwis Bartodzieje, Bydgoszcz (woj. kujawsko-pomorskie).

Mistrz Motoryzacji Roku otrzymał nagrodę finansową w wysokości 40 tysięcy złotych, natomiast laureaci, którzy zajęli miejsca od 10. do 2., oprócz pamiątkowego dyplomu, otrzymali voucher na wakacje o wartości 5 tysięcy złotych do wykorzystania w biurze podróży Itaka.

Warsztat Samochodowy Roku: I miejsce: F.U. Auto-Kolor – Nowy Sącz (woj. małopolskie), II miejsce: T.W Garage Naprawa Aut BMW Tomasz Wypych – Gorzów Wielkopolski (woj. lubuskie), III miejsce: Auto Mechanik Koziorzemski – Pawłówek (woj. kujawsko-pomorskie).

Szkoła Jazdy Roku: I miejsce: Nauka Jazdy Moto Szkoła – Oświęcim (woj. małopolskie), II miejsce: Safe Driving Kowalczyk & Tajsiak – Wrocław (woj. dolnośląskie), III miejsce: OSK Artur – Dąbrowa Górnicza (woj. śląskie).

Firma Transportowa Roku: I miejsce: CTaxi – Gdańsk (woj. pomorskie), II miejsce: KOSPI PRZEMYSŁAW KOTLICKI - Tuszyn (woj. łódzkie), III miejsce: InMotion Daria Jabłońska - Mysłowice, ks. kard. (woj. śląskie).

Auto Detailing Roku: I miejsce: AutoZadbani.pl – Nasiegniewo (woj. kujawsko-pomorskie), II miejsce: Deja Vu Auto Detailing – Cisek (woj. opolskie), III miejsce: Pinkstar Detailing – Działdowo (woj. warmińsko-mazurskie)

ALE FURA!: I miejsce: Porsche 911, 1985 - Przemysław Milczarek (woj. łódzkie), II miejsce: Nissan Micra, 2000 - Wojciech Rzeźniczek (woj. opolskie), III miejsce: Ford Ranchero, 1978 - Mariusz Trawiński (woj. podlaskie).

ALE MOTOR!: I miejsce: Yamaha XV1600, 1999 - Jacek Orwat (woj. kujawsko-pomorskie), II miejsce: Iron horse, 2006 - Stanislaw Kolnierowicz (woj. podlaskie), III miejsce: Triumph Rocket 3GT Storm, 2025 - Agnieszka Pałczyńska, Opole (woj. opolskie).

Na stronie motofakty.pl znajdziesz wykaz zwycięzców plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji 2026 w poszczególnych kategoriach we wszystkich województwach, a także bardzo obszerną fotorelację z tej wielkiej ogólnopolskiej gali.

Rotinger Dub It Festival to wydarzenie, które na stałe wpisało się w kalendarz miłośników motoryzacji. Targi Kielce, gospodarz tego festiwalu, przyciągnęły tłumy pasjonatów, którzy zjechali z różnych zakątków kraju. Można było podziwiać ponad 800 wyjątkowych samochodów, światowe legendy tuningu, drift, tysiące koni mechanicznych i projekty sprowadzone z różnych stron Europy, Stanów Zjednoczonych oraz Japonii.

Podczas festiwalu można było zobaczyć zarówno klasyczne modele samochodów, jak i nowoczesne maszyny, które zachwycały swoimi unikalnymi modyfikacjami. Wśród ponad 800 prezentowanych aut były spektakularne projekty tuningowe, supersamochody, klasyki, auta wyścigowe, driftowe oraz terenowe. Wiele z nich powstawało przez lata i było budowanych od podstaw przez właścicieli, dla których motoryzacja jest sposobem na życie.

eprasa.pl 5a679bdc79

GALA OGÓLNOPOLSKA WSZYSTKIE ZDJĘCIA Z WYDARZENIA ZNAJDZIECIE NA STRONIE MOTOFAKTY.PL

Oto najlepsi z najlepszych w Polsce!

ZDJĘCIA: MIKOŁAJ OPATOWSKI

eprasa.pl 5a679bdc79

Wśród klientów, ale i znajomych znany jest jako Marcin z Lexusa

W ramach plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji 2026 wybieraliśmy Doradcę ds. sprzedaży samochodów Roku. Został nim Marcin Boboryko (Lexus Radość, Warszawa).

„Drodzy Państwo, wśród klientów, ludzi związanych z branżą, ale też znajomych, znany jestem jako Marcin z Lexusa. Markę reprezentuję od ponad 7 lat, przez ten czas pomogłem paruset osobom spełnić marzenia, jest mi niezmiernie miło, brać udział w tym plebiscycie - to chyba najlepsze podziękowanie za trud włożony w pracę. Możecie też znać mnie z materiałów promocyjnych realizowanych przez Toyote Central Europe na kanale Lexus Insider. Prywatnie pasjonat marki i starej japońskiej motoryzacji. #marcinzlexusa" - tak nam się przedstawił Marcin Boboryko. Od dziecka kochał samochody i przez lata niewiele się w tym temacie zmieniło. Wypełniają one nie tylko zawodową, ale też prywatną i towarzyską sferę jego życia, a dodatkowo kontakt z ludźmi daje mu dużo energii życiowej, więc postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym.

Praca z klientami nauczyła go cierpliwości i tego, że każdy zakup samochodu ma swoją historię. Zawsze stara się poznać prawdziwe powody decyzji, aby znaleźć auto idealnie dopasowane do potrzeb klienta. Wyjawił też, że czasem okazuje się, że ważniejsze od samego samochodu są drobne gesty, na przykład ulubione kwiaty przy odbiorze. Bo w tej pracy liczy się nie tylko samochód, ale przede wszystkim relacja i to, aby klient poczuł się wyjątkowo.

Połączył zawód z tym, co lubi robić – i czym żyje od wielu lat

Mariusz Krawczak (OSK Wiraż, Grójec) to nasz Instruktor Jazdy Roku. Z samochodami związany od zawsze, jak opisuje.

Karierę zaczynał w 2006 roku, pracując przez dwa lata jako sędzia sportów motorowych w Automobliklubie Rzemieślnik, do którego należy do dziś. Próbował swoich sił w rajdzie młodych na Bemowie, choć już wtedy wiedział, że wolałby się jednak ścigać, rywalizować na zamkniętym obiekcie, startując jednocześnie z innymi zawodnikami. Udało się w 2008 roku, dzięki Sekcji Młodych prowadzonej w Rzemieślniku przez opiekuna, śp. Krzysztofa Szajkowskiego. Mariusz Krawczak wystartował w Pucharze Junior Buggy, w którym po całym sezonie debiutował zajmując siódme miejsce, co było dla niego dużym sukcesem. Miał potencjał, ale z przyczyn osobistych zrezygnował z wyścigów i przez 10 lat pracował w spedycji w transporcie międzynarodowym z myślą, że kiedyś wróci na tor. - Instruktorem nauki jazdy zostałem w 2013 roku. Z powołania. Wiedziałem, że coś potrafię jeździć, choć na kursie wspomniano, że instruktor nauki jazdy nie musi umieć dobrze jeździć, ma potrafić przekazać wiedzę, z czym nie do końca się zgodzę. Duże doświadczenie z motoryzacją, jakie posiadam, powoduje, że jestem opanowanym oraz spokojnym instruktorem. Nie robię tego na siłę, tylko z pasją do samochodów - opisuje nasz zwycięzca. Satysfakcję daje mu chęć pomocy innym, chęć przekazania wiedzy: - Dzielenie się swoim doświadczeniem, co skutkuje w moim przypadku bardzo wysoką zdawalnością, którą zdobywam ot tak, bez większego wysiłku.

Chyba ma to po prostu w genach. Pochodzi z rodziny kierowców

Katarzyna Śliziewska (Usługi Transportowe, Przewozy Pasażerskie Krzysztof Grala, Myszyniec) - kierowca zawodowy, rodzinna firma. Kobieca precyzja. I prawdziwa pasja.

W zawodzie kierowcy pracuje już od 19 lat.- Można powiedzieć, że motoryzacja była obecna w moim życiu od zawsze, ponieważ mój tata prowadzi firmę transportową i od małego dorastałam w tym środowisku. Zawsze śmiałam się, że chyba mam to po prostu w genach, bo pochodzę z rodziny kierowców. Podczas studiów rodzice dali mi ogromne wsparcie i zapisali mnie na kurs prawa jazdy kategorii D - mówi.

Najbardziej lubi samą jazdę. - Ta pasja trwa u mnie już tyle lat i wciąż się nie znudziła. Cenię też kontakt z ludźmi, rozmowy i podziękowania za bezpieczną jazdę - opowiada Katarzyna Śliziewska.

Ten zawód nauczył ją lepszego radzenia sobie w różnych sytuacjach i większego spokoju w codziennej pracy. - Dzięki tej pracy nauczyłam się radzić sobie pod presją i podejmować szybkie decyzje - dodaje.

Jeździła kiedyś w podwójnej obsadzie z tatą, przez górską trasę. Przy nim pasażerowie byli bardzo swobodni - śpiewy, rozmowy, żarty. - Natomiast kiedy zmieniłam go za kierownicą, nagle zrobiło się tak cicho, jakby ktoś przełączył autokar w tryb ,,cisza nocna... To była jedna z tych sytuacji, które pokazują, jak bardzo zmienia się atmosfera w zależności od tego, kto siedzi za kierownicą. To była bardzo wymowna sytuacja i do dziś uśmiecham się na to wspomnienie - mówi.

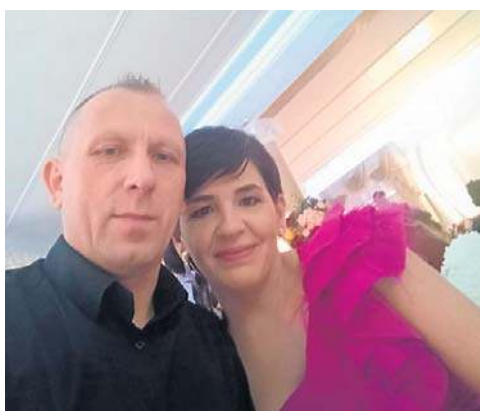

Zrobić dobrze, żeby klient był zadowolony i portfel nie ucierpiał

Mechanikiem Roku 2026 całego naszego województwa został Wojciech Jajszczak (Auto Pasja Edyta Jajszczak, Wodynie).

Przygoda z branżą motoryzacyjną zaczęła się w jego przypadku już w dzieciństwie. - Od samego małego, ze względu na to, że brat był też mechanikiem i zawsze coś naprawiał, a ja zawsze jemu pomagałem. Nie zawsze wychodziło to z dobrym skutkiem, ale od czegoś trzeba było zacząć. Potem poszedłem do szkoły mechanicznej, ale pracowałem w zawodzie jako kierowca. Z biegiem czasu poznałem kolegę, który handlował samochodami. I tak po kilku rozmów z nim naprowadził mnie, bym z powrotem wrócił do mechaniki i naprawiał mu samochody. I tak zaczęła się moja przygoda z mechaniką samochodową - wspomina Wojciech Jajszczak. Dla niego w tej branży najważniejszy jest nie tylko samochód, ale również zadowolony klient - to, by wracał. Znaczenie ma również czystość, dokładność estetyczność i rzetelne podejście do każdej naprawy. A każda jest traktowana indywidualnie. - Dla mnie każda sytuacja jest szczególna i satysfakcjonująca ze względu na to, że człowiek całe życie się uczy czegoś nowego. Zawsze poznaje coś nowego, odkrywa. I najważniejsze w tym wszystkim jest to, że udaje się naprawić usterki. To wtedy jest bardzo satysfakcjonujące - opowiada nasz Mechanik Roku 2026, który wygrał w Mistrzach Motoryzacji w skali całego województwa. - Moja praca związana z naprawą aut to nie tylko źródło dochodu, ale również moja pasja, stąd nazwa firmy Auto-pasja - dodaje zwycięzca plebiscytu.

Oferują detailing, dzięki któremu auto znów wygląda jak nowe

Ich ciężka praca i pasja zostały docenione. Firma ES Motors Detailing (Ząbki, 11 Listopada 1A) to zwycięzca kategorii Auto Detailing Roku.

Kieruje nimi i drzemie w nich pasja do motoryzacji samej w sobie. Cenią sobie możliwość dotknięcia różnorodnej motoryzacji. Stąd właśnie wzięła się ich pasja do detailingu i to sprawiło, że właśnie tym zajęli się zawodowo. A co najbardziej lubią w pracy przy samochodach? Może jest taki moment, który daje największą satysfakcję? Tak! - Błysk w oku właściciela w chwili odbioru, który jest jak wspomnienie dnia, w którym odbierał auto z salonu - odpowiada Sławomir Ewiak ze zwycięskiej firmy ES Motors Detailing.

Byliśmy również ciekawi tego, jaką realizację albo przemianę auta wspominają najlepiej i dlaczego właśnie ten projekt tak szczególnie zapadł w pamięć? - Dostaliśmy zlecenie na doprowadzenie do porządku zmęczonego wnętrza pojazdu z rodziny vanowatych. W czasie przyjęcia auta klient rzucił, aby dodatkowo coś zrobić z lakierem. Dzwonimy do klienta, aby umówić odbiór. Klient przyjechał, stojąc obok swojego samochodu zadaje pytanie, gdzie jest jego auto. Lakier nie tylko przestał być matowy, ale również zmienił kolor na oryginalny. Połysk oraz głęboka czerń. Radość klienta jest tym, po co to robimy - opowiadają.

„Znasz to uczucie, gdy po wizycie w ES Motors Detailing Twoje auto wygląda lepiej niż nowe? Teraz potrzebujemy Twojej pomocy!" - apelowali o głosy w naszej akcji. Skutecznie, bo finalnie wygrali w całym województwie.

eprasa.pl 5a679bdc79

Wiele lat doświadczenia, miliony kilometrów przejechanych, tysiące zadowolonych klientów

WAR-CAR (Czarnia, Czarnia 29A) to nasza Firma Transportowa Roku w skali całego województwa.

Zwycięska firma oferuje swoje usługi w zakresie przewozu osób zarówno w kraju, jak również za granicą. Firma istnieje od 1991 roku. Jej atuty to wieloletnie doświadczenie w przewozie osób, miliony przejechanych kilometrów, doświadczeni kierowcy oraz tysiące zadowolonych klientów.

Zwycięzca plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji 2026 w swojej kategorii w całym naszym województwie oferuje swoim klientom autokary i mikrobusy, którymi bezpiecznie i komfortowo mogą podróżować. Nasi zwycięzcy posiadają wszystkie wymagane dokumenty na prowadzenie transportu krajowego i międzynarodowego w zakresie przewozu osób oraz rzeczy.

Dopasowuje metody nauczania do kursanta

OSK Malibu (Borowa Góra, Dzikiej Róży 20) to zwycięzca kategorii Szkoła Jazdy Roku. Jest to firma jednoosobowa.

Ośrodek szkolenia kierowców, który zwyciężył w Mistrzach Motoryzacji, istnieje ponad sześć roku. Na początku była to szkoła działająca pod patronatem ASO KIA Malibu Auto Centrum, a od 2023 roku jest jednoosobową działalnością jako OSK Malibu Krzysztof Kazana.

- Moja szkoła prowadzi kursy kandydatów na kierowców kategorii B. Głównym celem jest bezpieczne i samodzielne poruszanie się w ruchu drogowym, przestrzegając przepisy - przekazuje właściciel placówki, która triumfowała w Mistrzach Motoryzacji 2026.

Jego szkoła jest jednoosobową działalnością, czyli sam prowadzi wykłady z teorii i zajęcia praktyczne z każdym kursantem, co pozwala mu na kontrolę procesu szkolenia wszystkich kursantów z jego ośrodka. - Dopasowuję metody nauczania do każdego kursanta indywidualnie, co pozwala na osiągnięcie jak najlepszych wyników. Wynikiem mojej pracy było zajęcie pierwszego miejsca w powiecie legionowskim w 2024 roku - opisuje Krzysztof Kazana.

„Serwis u Szwagrów" od początku miał być z charakterem

Zwycięski „Serwis u Szwagrów" (Pionki, Piłsudskiego 21) powstał z pasji do motoryzacji i potrzeby stworzenia miejsca, które łączy najwyższą jakość usług z atmosferą opartą na zaufaniu.

- Nazwa, choć nawiązuje do rodzinnych relacji i ma w sobie pewną lekkość, dobrze oddaje naszą filozofię pracy. Chcemy aby każdy klient czuł się u nas swobodnie, mając jednocześnie pewność profesjonalnej obsługi na najwyższym poziomie - przekazuje Rafał Będziński. Wspomina, że początki były skromne, jednak od samego startu mieli jasno określony kierunek rozwoju. Konsekwentnie inwestowali w nowoczesne technologie, rozwój zespołu oraz standardy obsługi, które dziś są naszym wyróżnikiem. Najważniejsze w ich rozwoju było połączenie dwóch wartości: jakości i relacji. Wierzą, że właśnie ta równowaga sprawiła, że „Serwis u Szwagrów" stało się miejscem rozpoznawalnym i docenianym przez klientów. - W kontakcie z klientami najważniejsze są dla nas zaufanie i transparentność. Zależy nam na tym, aby każda osoba, która trafia do naszego warsztatu, dokładnie wiedziała, co dzieje się z jej samochodem- bez niedomówień i niejasnych kosztów. Stawiamy na bezpośrednią, partnerską komunikację. Tłumaczymy zakres napraw w prosty i zrozumiały sposób, doradzamy najlepsze rozwiązania i zawsze staramy się znaleźć podejście dopasowane do konkretnej sytuacji klienta - mówią. Wierzą, że dobra relacja nie kończy się na jednej wizycie. Budują ją długofalowo: - To właśnie dzięki temu wielu klientów wraca do nas i poleca „Serwis u Szwagrów" dalej.

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strefa BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl

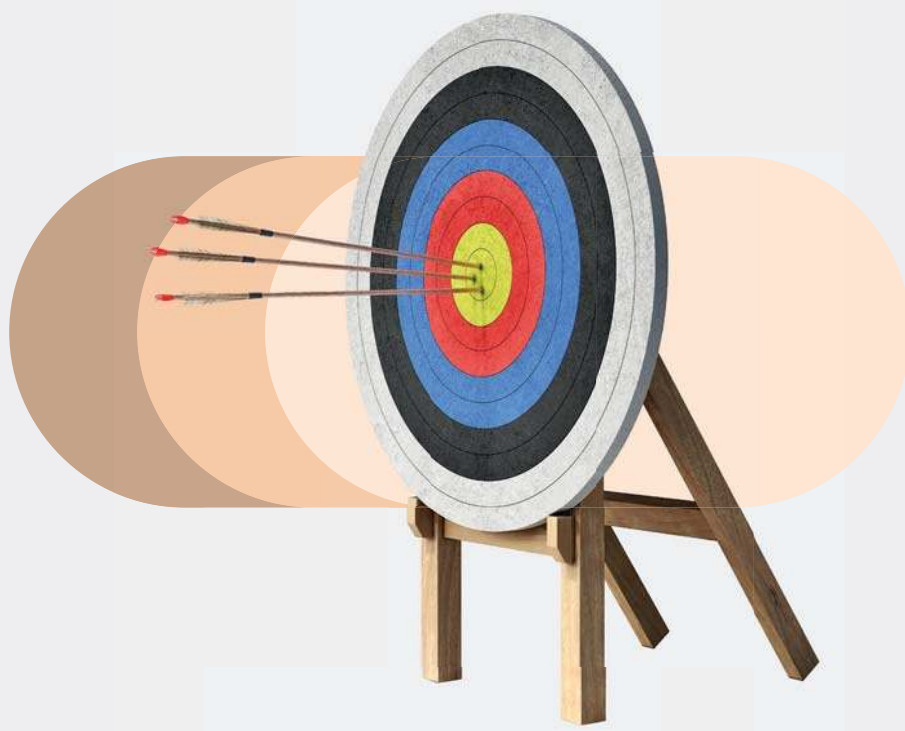

eprasa.pl 5a679bdc79

AUTOPROMOCJA Q604973892A

Daj się wkręcić w motoryzację!

- Czym będą jeździć Polacy za kilka, kilkanaście lat?
- Do kogo należą marki samochodowe?
- Ferrari. Emocje, styl, dźwięk i szybkość
- Porsche 911. Samochód ma zachwycać tym jak jedzie, a nie jak jest skonstruowany

A także testy, wrażenia z jazdy, porównania, porady, fascynacje i historia motoryzacji.
Zapraszamy do lektury!

MOTO SALON

Magazyn do nabycia w salonach prasowych

eprasa.pl 5a679bdc79

LAUREACI AKCJI ALE FURA! I ALE MOTOR!

MIEJSCE I

BMW E39 530i, 2002.
Krzysztof Jackowski

Triumph Bonevil Bobber, 2017.
Marcin Cheda, Iłża

MIEJSCE II

Opel Astra, 2007.
Szymon Stańczyk, Radom

Honda Shadow, 1996.
Łukasz Pietruczanis

MIEJSCE III

Fiat Seicento, 2004.
Paweł Makarewicz, Ząbki

Yamaha Raider 1900, 2011.
Dominik Szymanowicz

eprasa.pl 5a679bdc79

LAUREACI PLEBISCYTU

MECHANIK ROKU	
Radom	**Artur Rembowski**, Pol-Car Auto-Części, Radom
Warszawa	**Sebastian Ornoch**, CarSeb Serwis Samochodowy, Warszawa
powiat białobrzeski	**Mateusz Pękacki**, Mat-Mech Mechanika samochodowa, Bobrek
powiat grodziski	**Łukasz Kostrzewa**, Chrzanów Duży
powiat kozienicki	**Krzysztof Gołda**, Auto-Serwis Krzysztof Gołda, Garbatka-Letnisko
powiat łosicki	**Maciej Daniluk**, Usługi Mechaniczne Maciej Daniluk, Stara Kornica
powiat piaseczyński	**Krzysztof Łojewski**, Kris Auto, Piaseczno
powiat płocki	**Przemysław Cyliński**, Warsztat Samochodowy Przemysław Cyliński, Bulkowo-Kolonia
powiat przysuski	**Jacek Marasek**, Mechanika Pojazdowa, Przysucha
powiat pułtuski	**Dawid Tutak**, Eko-sand Sp.z.o.o, Łubienica-Superunki
powiat radomski	**Piotr Ziółko**, Piter cars Piotr Ziółko, Wierzbica
powiat siedlecki	**Wojciech Jajszczak**, Auto Pasja Edyta Jajszczak, Wodynie

INSTRUKTOR JAZDY ROKU	
Warszawa	**Paweł Kozicki**, OSKbielecki.pl, Warszawa
Region ostrołęcki	**Tomasz Tybura**, OSK Puchta, Wyszków
Region radomski	**Dominik Trojanowski**, OSK Minta, Białobrzegi
Region warszawski wschodni	**Krzysztof Kazana**, OSK Malibu, Borowa Góra
Region warszawski zachodni	**Mariusz Krawczak**, OSK Wiraż, Grójec

KIEROWCA ZAWODOWY ROKU	
Warszawa	**Andrzej Zadrożny**, MZA Oddział Przewozów R-4 STALOWA, Warszawa
Region ciechanowski	**Dawid Ślubowski**, ZKM w Ciechanowie, Ciechanów
Region ostrołęcki	**Katarzyna Śliziewska**, Usługi Transportowe, Przewozy Pasażerskie Krzysztof Grala, Myszyniec
Region płocki	**Jacek Raczkowski**, WP TRANS, Płock
Region radomski	**Paweł Waszczak**, EG Group Partner, Radom
Region warszawski wschodni	**Marcin Adasiak**, PKS Grodzisk Mazowiecki, Sulejówek
Region warszawski zachodni	**Łukasz Woźniak**, Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej Sp. z o.o., Grójec

WARSZTAT SAMOCHODOWY ROKU	
Siedlce	**Premium Garage**, Siedlce, Kosowska 18
Warszawa	**MC Serwis**, Warszawa, Szeligowska 81
powiat kozienicki	**Auto-Serwis Krzysztof Gołda**, Garbatka-Letnisko, Kochanowskiego 98
powiat legionowski	**KMC Xtra**, Nieporęt, Małołęcka 15E
powiat łosicki	**Usługi Mechaniczne Maciej Daniluk**, Stara Kornica, Stara Kornica 156
powiat mławski	**Auto Serwis**, Mława, Browarna 2
powiat ostrowski	**Auto Serwis Suchcicki**, Brok, Szosowa 20
powiat piaseczyński	**RajCar Serwis i Wulkanizacja**, Kędzierówka 32
powiat przysuski	**Auto-Serwis Kos**, Przysucha, Radomska 16
powiat radomski	**Serwis u Szwagrów**, Pionki, Piłsudskiego 21
powiat sochaczewski	**Truck Pol EPC**, Młodzieszyn, Janów 85A
powiat sokołowski	**Mechanika pojazdowa Mariusz Wilk**, Kupientyn, Kupientyn 107

SZKOŁA JAZDY ROKU	
Warszawa	**OSK Bielecki**, Warszawa, Szobera 5 lok. 6C
Region ostrołęcki	**OSK Puchta**, Wyszków, Sowińskiego 79
Region płocki	**OSK PABLO**, Sierpc, Płocka 10
Region radomski	**L-Star**, Radom, Piłsudskiego 5/3
Region radomski	**Radomskie Centrum Szkoleń Nauka Jazdy Radom**, Radom, Malczewskiego 4
Region warszawski wschodni	**OSK Malibu**, Borowa Góra, Dzikiej Róży 20
Region warszawski zachodni	**Auto Szkoła Sławek**, Piaseczno, Jana Pawła II 45

DORADCA DS. SPRZEDAŻY SAMOCHODÓW ROKU	
1. miejsce	**Marcin Boboryko**, Lexus Radość, Warszawa
2. miejsce	**Mateusz Łysik**, BMW Inchcape, Warszawa
3. miejsce	**Adrian Żemojcin**, Volkswagen Chylińscy, Warszawa

FIRMA TRANSPORTOWA ROKU	
1. miejsce	**WAR-CAR**, Czarnia, Czarnia 29A
2. miejsce	**Quality driver**, Warszawa, Warszawa

AUTO DETAILING ROKU	
1. miejsce	**ES Motors Detailing**, Ząbki, 11 Listopada 1A
2. miejsce	**INAPROstowany**, Radom, Słowackiego 225C
3. miejsce	**Warszawski Błysk - Studio Detailingu**, Warszawa, Górczewska 30

AUTOREKLAMA

Polecamy →

motofakty.pl

Motoryzacja
na wysokich obrotach

motofakty.pl

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

– Mikstat miksem narodowości – mówi burmistrz gminy Henryk Zieliński

lat najlepiej radzą sobie Kolumbijczycy i Wenezuelczycy. Kilku po 2-3 latach pracy dorobiło się stanowiska brygadzisty. Często dzięki temu, że zainwestowali w prywatne lekcje języka polskiego. Gmina lekcji polskiego obcokrajowcom nie oferuje, zdaniem burmistrza Zielińskiego nie ma takiej potrzeby – większość przyjechała tu czasowo i nie myśli się osiedlać. W efekcie językiem do porozumiewania się jest przede wszystkim angielski, a z pomocą przychodzą internetowi tłumacze. Można się dogadać.

Dużo gry w domino

Ale zdaniem Arka, tych którzy chcą zostać, nie jest wcale tak mało. – Wielu jest zachwyconych Polską w porównaniu z Kolumbią czy Wenezuelą. Niektórzy chcą zostać, bo jest im tu lepiej, niektórzy mówią o obywatelstwie.

Najlepsi piłkarze trafiają do lokalnych klubów niższych lig, na mieście pojawiają się mieszane pary. Polskie święta – Dni Mikstatu, jarmark bożonarodzeniowy – przyciągają cudzoziemców. Ich zwyczaje – np. latynoski Día de Muertos, czyli Dzień Zmarłych – wzbudzają zainteresowanie Polaków. – Jak wyciągnie się do nich rękę, traktuje się ich równo i dobrze, to łatwiej nawiązać z nimi lepszy kontakt i relację – podkreśla Arek.

Jorge jest w miasteczku od trzech miesięcy. Z Kolumbii wyjechał, bo „jest, jak jest". Do Mikstatu trafił, bo jego znajomy już tu był. Mówi, że relacje z Polakami, ale też innymi obcokrajowcami, są koleżeńskie. – W Mikstacie nie spotkałem się z dyskryminacją, o której wspominali moi znajomi żyjący w innych miejscach.

Zaskoczyło go bezpieczeństwo. Po raz pierwszy, gdy zostawił buty na boisku do koszykówki. Gdy po nie wrócił następnego dnia, wciąż tam były. Loraine, która towarzyszy mu w drodze do sklepu, też podkreśla bezpieczeństwo. – Nikt mnie nie napadnie na ulicy, nikt nie wyrwie telefonu z ręki – mówi dziewczyna.

Loraine przyznaje, że nie chce wracać do Kolumbii. Podoba jej się bezpieczeństwo fizyczne, ale też ekonomiczne. Jorge szacuje, że zarabia w Mikstacie trzykrotnie więcej niż to, na co mógłby liczyć w domu. Po zapłaceniu za mieszkanie, zrobieniu zakupów wciąż ma pieniądze, które może przelać rodzinie w Kolumbii. – Tęsknię bardzo za matką i za synem, którego wychowywałem sam.

W Kolumbii nie miałby szans ich utrzymać. Przyznaje, że gdyby miał możliwość ściągnięcia ich do Polski, mógłby myśleć o pozostaniu. Skorzystałby też chętnie z lekcji polskiego – widzi, że jego koledzy, którzy nauczyli się języka, są zadowoleni z pracy i życia w Mikstacie. Na boisku, gdzie najchętniej spędza czas wolny, „na szczęście się gra, nie gada".

Loraine żałuje, że sama nie ma z kim grać w piłkę. Grała w Kolumbii, w Misktacie nie. Jej zostaje gra w domino ze współlokatorami. Dużo gry w domino.

2,3 miliona w Polsce

Z raportu „Ślady życia" opublikowanego przez GUS 1 lipca wynika, że w Polsce przebywa 38,8 milionów osób, ponad 1,5 miliona więcej, niż w oficjalnych statystykach mieszkańców. Obcokrajowców przebywających w Polsce jest 2,3 miliona, najwięcej w dolnośląskim (9,8 proc. populacji), mazowieckim (9,3 proc.) i lubuskim. Najmniej – po 2 proc. – w świętokrzyskim i podkarpackim. Z danych wynika również, że są gminy na terenie Polski, gdzie udział obcokrajowców dochodzi do 30 proc. Są to Ustronie Morskie w woj. zachodniopomorskim, Jelcz-Laskowice w woj. dolnośląskim, Głowno w woj. łódzkim, Mława i Raszyn w woj. mazowieckim oraz Mikstat w woj. wielkopolskim. Zdaniem GUS na terenie miasta Mikstat obcokrajowcy stanowią ponad 50 proc. populacji.

Dane zebrano wg nowej metodologii, opartej o „ślady życia", czyli informacje, które każdy z nas – Polak czy cudzoziemiec – pozostawia w różnego rodzaju rejestrach państwowych: w bazie PESEL, urzędach skarbowych, Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, Narodowym Funduszu Zdrowia czy ministerstwa edukacji. W sumie wzięto pod uwagę 20 zbiorów danych pochodzących z 10 instytucji.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Mikstat stał się punktem rekrutacji cudzoziemców także dla innych agencji pracy i przedsiębiorstw

eprasa.pl 5a679bdc79

JEDYNA TAKA ATRAKCJA NA ŚWIECIE

Zapraszamy na spacer z Adamem Małyszem po miejscu, które powinien zobaczyć każdy

Zwiedzamy nowo otwarte Beskidzkie Centrum Narciarstwa im. Adama Małysza w Wiśle. – Kochani Czytelnicy Dziennika Zachodniego. Serdecznie zapraszam Was do Wisły – powiedział specjalnie dla DZ Adam Małysz. – Możecie tutaj poczuć atmosferę tego, co już wydarzyło się w skokach narciarskich, ale również doznać mnóstwa przygód – dodał mistrz.

Jacek Drost

FOT. JACEK DROST

FOT. JACEK DROST

Pomnik skoczka przed centrum, a w środku same cuda, nie tylko dotyczące skoków, ale także rajdowych startów mistrza

Człowieka legendę spotkałem we wtorek w towarzystwie burmistrza Wisły Tomasza Bujoka na schodach wiślańskiego magistratu. Nie zdążyliśmy przejść kilku kroków, kiedy ktoś podszedł i spytał, czy może zrobić sobie zdjęcie z królem Holmenkollen. Król nie odmówił – uśmiechnął się do obiektywu, zapozował. Kolejne kilka kroków i kolejne pytanie, tym razem od całej rodzinki: „Czy można prosić zdjęcie?". – Mam wam zrobić? – zażartował Orzeł z Wisły, ustawiając się do selfie. Co krok sytuacja się powtarzała, aż do momentu, kiedy przekroczyliśmy próg Beskidzkiego Centrum Narciarstwa im. Adama Małysza.

– Mimo upływu lat małyszomania ma się dobrze. I dobrze – pomyślałem sobie, rozglądając się po nowoczesnej, naprawdę fajnie zaaranżowanej przestrzeni, która lada moment miała zostać oficjalnie otwarta.

W centrum na „dzień dobry" z dużego ekranu powitał mnie sam Adam Małysz w... stroju regionalnym, mówiący gwarą.

– Powiem szczerze, że to było dla mnie wyzwanie, bo moja gwara jest taka śląsko-cieszyńska i zakopiańska ze względu na to, że przeszło 20 lat spędziłem z kolegami, którzy po góralsku mówią. Dużo było pomieszanych słów, ale jak to nagrywaliśmy, to pani burmistrz mocno korygowała pewne rzeczy, więc wyszło dosyć poprawnie – wyjaśnił mistrz.

Zdradził, że marzył o tym, by powstał obiekt, który nie będzie typowym muzeum, typową galerią, ale miejscem spotkań, miejscem inspiracji.

– Miejscem, do którego jak młodzież wejdzie, to nie będzie chciała wyjść, dlatego znalazły się tutaj różnego rodzaju multimedia i symulatory – podkreślił Adam Małysz.

Zwiedzanie centrum, które powstało od podstaw w miejscu rozebranego budynku, w samym sercu Wisły, w Parku Kopczyńskiego, który chętnie odwiedzają nie tylko Wiślanie, ale głównie turyści wypoczywający w górskiej miejscowości, zaczęliśmy od miejsca, w którym stoi rajdowa terenówka, a na czerwonej bramie startowej widnieje wielki biały napis „START" – faktycznie można się poczuć jak na starcie rajdu samochodowego.

– Dla mnie to bardzo cenne, że udało się tę część rajdową wpleść do centrum narciarstwa – zwierzył się Orzeł z Wisły, pokazując swoje 170-konne Mitsubishi Pajero, zwane „Miśkiem", którym startował w pierwszym swoim Rajdzie Dakar. – Można także zobaczyć puchary i stroje, w jakich brałem udział w rajdach, tutaj można sobie poukładać puzzle, a na monitorach zobaczyć, jak moja kariera w sportach motorowych się potoczyła – wyjaśniał mistrz, zapraszając na pierwszą kondygnację, gdzie w przestronnej sali można zobaczyć sporą kolekcję jego nart, samych perełek z jego zbiorów – drewnianych, ale i bardziej współczesnych.

Starsze zostały wyeksponowane m.in. w olbrzymiej gablocie, bardziej współczesne prezentowane są w gablotkach znajdujących się w... podłodze. Można po nich pochodzić, pooglądać je z bliska przez zahartowaną szybę. Klimatu dopełniają wywieszone na ścianach archiwalne wielkie czarno-białe fotosy z jakichś zawodów narciarskich.

– Jestem zbieraczem starych nart. Tutaj to może jedna tysięczna tego, co mam. Żeby nie skłamać, mam dwa – dwa i pół tysiąca nart. Wszystkie typy. Zbierałem je prawie przez 20 lat. Na początku kolekcjonowałem to, co było, a później zacząłem zbierać bardziej wartościowe narty; takie, które miały za sobą jakąś historię – opowiadał.

Idziemy kawałek dalej, do kolejnego pomieszczenia – klimatyczne oświetlenie, migające ekrany, człowiek czuje się trochę jak w salonie gier.

– Jesteśmy w takim miejscu, które ma pokazać trochę architektury, trochę wiślańskiej historii. Mamy makiety, które po zaznajomieniu się z historią i odpowiedzeniu na kilka pytań, rozświetlają się i pokazują wszystkie wspomniane obiekty w odpowiedniej skali. Myślę, że to jest fajny moment, żeby przetestować wiedzę Adama – zażartował burmistrz Bujok.

– Nie, nie, nie. Burmistrza – ripostował mistrz.

Ostatecznie to burmistrz Wisły zaczął testować wiedzę Małysza, pytając go, jaki był pierwszy rekord na skoczni w Wiśle Malince?

– Chyba 105 – odpowiadał Małysz.

Pudło. Idąc do następnego pomieszczenia, słyszę, jak panowie ustalają, iż chodziło o 41 metrów, które padło jeszcze na starej skoczni.

W kolejnej sali w oczy rzucają się jakieś dziwne urządzenia, na których przed ogromnymi ekranami można wczuć się w skoczka narciarskiego. Na jednym z takich urządzeń swoich sił spróbował burmistrz Bujok, ale okazało się, że nawet trening na sucho to nie jest taka prosta sprawa.

Z sali obok dobiega głos spikera relacjonującego jakieś zawody w skokach narciarskich (brzmi znajomo), słychać było także specyficzny doping kibiców z przebijającymi się dźwiękami wuwuzeli i trąbek. Odżywają wspomnienia...

To sala glorii i chwały Adama Małysza. Tutaj w gablocie przypominającej skocznię widzę z bliska, bardzo bliska pięknie podświetlone medale Orła z Wisły – srebrne z olimpiady w Vancouver i Salt Lake City oraz brązowy z Salt Lake City, w gablotach prężą się lśniące puchary, a dalej – tak! – pięć Kryształowych Kul (cztery duże i jedna mała) zdobytych przez Adama. Patrząc na te cuda, łezka zaczyna kręcić się w oku – nie sposób zapomnieć emocji towarzyszących ich zdobyciu.

– Taki był zamysł projektantki, żeby pokazać kawałek skoczni – słyszę, jak mówi Adam Małysz, idąc do kolejnego pomieszczenia – z kombinezonami, w jakich startował i dalej, gdzie można zobaczyć trofea innych polskich skoczków, m.in. Piotra Żyły.

– Czy pana koledzy skoczkowie w innych krajach także mają takie muzea, centra? – podpytuję Małysza.

Mistrz mówi, że nie, że to nasza, polska specyfika.

– W Polsce tych sukcesów nie było aż tak dużo. My, jako Polacy, chcieliśmy się z czymś utożsamiać – powiedział. Wspomniał, że wielokrotnie jak był na zawodach za granicą – w Niemczech, Austrii czy Norwegii – to przychodzili do niego Polacy i dziękowali, że wreszcie mają komu pokibicować, poczuć dumę, pocieszyć się z sukcesów.

– Na początku te wszystkie trofea miałem w domu, w piwnicy. Ludzie przychodzili, dzwonili mi na bramkę, że przyszli zobaczyć puchary czy medale. Pytałem, jak to do domu prywatnego? Odpowiadali, że „No tak, bo kibicowaliśmy i czujemy się ojcami tego sukcesu". I tak z żoną uznaliśmy, że trzeba coś stworzyć. Tak powstała w 2001 roku pierwsza nasza galeria, bardzo skromniutka. Była rozbudowywana, ale i tak było tam dosyć ciasno. Później miałem propozycję, żeby ta galeria została przeniesiona do innego miasta. Uderzyłem do burmistrza, że jest taka propozycja, ale powiedział nie. Tu się wychowałem, z Wisłą byłem zawsze bardzo mocno związany. Też sobie nie wyobrażam, że miałoby to powstać gdzie indziej – zwierzał się mistrz.

eprasa.pl 5a679bdc79

SENSACYJNE ODKRYCIE

Dwa lata śledztwa. Tajemnica wraku to prawdziwa łamigłówka

Wieści o 170-letnim szampanie i ekskluzywnej wodzie mineralnej odkrytych przez nurków Baltictechu na pokładzie wraku żaglowca zelektryzowały nie tylko środowisko nurkowe czy muzealnicze. - Choć świat obiegły zdjęcia „bąbelków", dla mnie prawdziwa przygoda zaczęła się w gabinecie, w archiwach, przy próbie rozszyfrowania zagadki: co to za statek? Skąd płynął i kiedy dokładnie zatonął? - mówi Paweł Truszyński, nurek, uczestnik wypraw Baltictechu, badacz i odkrywca

Tomasz Chudzyński

Ekspedycja Baltictechu sprzed dwóch lat dokonała jednego z największych odkryć ostatnich lat w podmorskiej eksploracji. Grupa polskich nurków natrafiła wówczas, nieco przypadkowo, w okolicach szwedzkiej Olandii, na wrak niewielkiego żaglowca. Znalezisko było wstępnie datowane na XIX w. Jak się okazało, we wraku znajdował się niezwykły ładunek - był on po brzegi wypełniony koszami z butelkami. Był to transport ekskluzywnej wody mineralnej i szampana. O tym odkryciu, dwa lata temu, rozpisywały się media z całego świata.

Paweł Truszyński, doświadczony nurek techniczny, uczestnik wypraw Baltictechu, schodził wówczas do wraku, pierwszy wyjął butelkę z wraku i dostarczył na powierzchnię. - Choć świat obiegły zdjęcia „bąbelków", dla mnie prawdziwa przygoda zaczęła się w gabinecie, w archiwach, przy próbie rozszyfrowania zagadki: Co to za statek? Skąd płynął i kiedy dokładnie zatonął? - przyznaje dziś Paweł Truszyński.

Jak sam wskazywał, skryte za kurtyną wielu lat losy wraku dość mocno go pochłonęły. Minione dwa lata były czasem intensywnego śledztwa, ciężką, detektywistyczną pracą za biurkiem i telefonem, połączoną z niesamowitym wysiłkiem całej ekipy Baltictech pod wodą.

Historia składania w całość tej morsko-detektywistycznej mozaiki sama w sobie jest pasjonująca i bardzo ciekawa. Mamy skarb - tak Tomasz Stachura, lider Baltictechu dwa lata temu mówił, kiedy zaczęły „wychodzić" pierwsze szczegóły ładunku wraku żaglowca. Niemniej członkowie ekspedycji nie od razu zorientowali się, że znaleźli ekskluzywną woda i szampana.

- Najpierw był ślepy zaułek. Kiedy wyciągnęliśmy z wraku pierwsze gliniane butelki w kształcie charakterystycznych dzbanków, na których widniało oznaczenie księstwa Nassau, nasza wyobraźnia oszalała. Myśleliśmy, że chodzi o egzotyczny port na Karaibach, a w środku kryje się stuletni rum. Żeby nie błądzić w chmurach, postanowiłem natychmiast działać. Wysłałem zdjęcia butelek do wybitnej specjalistki, Matyldy Gierszewskiej. Jej odpowiedź rozwiała nasze domysły. To nie był rum. To była słynna, luksusowa woda mineralna Selters! - mówił Paweł Truszyński.

FOT. BALTIICTECH

Nurek podczas poszukiwań w okolicach szwedzkiej Olandii

Natomiast co ważniejsze dla śledztwa: herb Księstwa Nassau (w oryginale Herzogtum Nassau), który widniał na ceramice, obowiązywał dokładnie w latach 1836-1866. - Dzięki temu zyskaliśmy pierwszy, niezwykle ważny punkt odniesienia: 30-letnie okno czasowe ważne dla losów ostatniego rejsu żaglowca. To wtedy statek musiał zatonąć - zaznacza badacz.

Truszyński ruszył tropem producenta wody. Firma Selters istnieje do dziś. Po drodze pojawił się jednak wątek... magicznej gliny. - Moją uwagę przykuwał kolejny element układanki: na wraku znajdowała się też nieoznakowana porcelana i kamionka. Znalezienie ich wytwórcy, bez żadnych sygnatur graniczyło z cudem. Postanowiłem zmienić strategię. Zacząłem badać historię dawnych fabryk ceramiki położonych blisko historycznych źródeł wody Selters w regionie Westerwald. Trafiłem na ślad zakładów, które wprawdzie nie produkowały samej zastawy, ale robiły coś znacznie ważniejszego dla datowania historii żaglowca... produkowały gliniane butle dla Seltersa - opowiada Paweł Truszyński.

W firmie potwierdzili przypuszczenia odkrywcy, m.in. przy pomocy archiwalnych fotografii. To były takie same butle, które nurkowie znaleźli we wraku żaglowca. - Butelki wypalano ze specjalnej kamionki o wysokiej gęstości, która idealnie izolowała wodę, chroniąc jej unikalny, gazowany smak przed ulatnianiem się i dostępem światła. Eksperci z fabryki pomogli mi zidentyfikować, jak odróżnić butelki robione ręcznie na kole garncarskim od tych tłoczonych maszynowo. To pozwoliło nam drastycznie zawęzić datę katastrofy - mówi.

Badacza intrygowały jednak nadal dziwne, nieoznakowane naczynia ceramiczne. Poszukiwania doprowadziły Pawła Truszyńskiego do eksperta Stefana Panisa, który skierował go z kolei do holenderskiego archeologa specjalizującego się w ceramice przemysłowej - Wytze Stellingwerfa. Badacz pokazał mu zdjęcia ceramiki znalezionej we wraku.

- Jego odpowiedź była dla mnie przełomem i brzmiała jak wyrok: „Bardzo ciekawe kształty! Myślę, że to syderolit (syderylit), wytwarzany w Bohemii lub Niemczech Wschodnich, typowy dla trzeciej ćwierci XIX wieku. Sam syderolit to rodzaj szlachetnej, wypalanej na twardo ceramiki przemysłowej (nie porcelany), wytwarzanej w formach". Mieliśmy więc kolejny element: luksusowy towar sprowadzany z samego serca Europy - opowiada odkrywca.

Co z szampanem, który przylgnął najmocniej do tej historii, trochę wbrew samym odkrywcom? Początkowo, tuż po wydobyciu butelek z wraku trudno było zidentyfikować nazwę trunku - korek był nieczytelny. - Jednak gdy tylko wysechł, naszym oczom ukazał się napis: Louis Roederer Carte Blanche - słynnym na świecie producentem szampana. Nawiązałem kontakt z firmą w Reims we Francji. Pojechaliśmy tam, zostawiając w firmie butelkę do szczegółowych analiz laboratoryjnych. Co więcej, nasze odkrycie idealnie zbiegło się z wielkim jubileuszem ponieważ niedawno świętowano 250-lecie tego legendarnego domu szampana - uważa Truszyński.

Niemal rok po odkryciu wraku żaglowca, Baltictech wrócił na miejsce z kolejną wyprawą. Tu trzeba zaznaczyć, że krótko po poprzedniej ekspedycji, kiedy okazało się, jak cenny ładunek znajdował się na jego pokładzie, szwedzkie władze objęły wrak ochroną. Niemniej Baltictech uzyskał wszelkie zgody na następne nurkowanie, które odbyło się w maju 2025 r. Potrzebne były dowody na potwierdzenie kolejnych tez odkrywających losy tego statku - dokąd i skąd płynął, kto miał być odbiorcą owego ekskluzywnego ładunku. - Choć mieliśmy już masę wiedzy, wciąż brakowało nam ostatecznego dowodu na dokładny rok katastrofy żaglowca. I wtedy nastąpiło to „legendarne", ostatnie nurkowanie. Zszedłem pod wodę razem z Michałem Iwickim. Skupiliśmy się wyłącznie na przekopywaniu osadów w poszukiwaniu drobiazgu, który mógł zmienić wszystko. I to się stało - Michał dokonał niemożliwego i wykopał talerz ze znakiem kotwicy - mówi Truszyński.

Jak się następnie okazało, była to angielska porcelana z manufaktury Davenport (DamPoort), a przy kotwicy widniała wybita liczba 56, oznaczająca rok produkcji: 1856.

- Ponieważ kompletna dokumentacja historyczna fabryki przetrwała w brytyjskich rejestrach do dziś, natychmiast skonsultowałem się z ekspertami zajmującymi się historią hrabstwa Staffordshire, zadając pytanie, czy w tamtych czasach przetrzymywali towar po produkcji. Odpowiedź była jednoznaczna: nie, towar wysyłano natychmiast - przyznaje badacz. - Całe moje poszukiwania spięły się w klamrę: woda Selters wskazywała lata 1836-1866. Angielska porcelana zawęziła czas do roku 1856 lub tuż po nim. Zamiast szukać w przedziale 30 lat, zacząłem szukać konkretnego roku! Uznając, że angielska porcelana musiała najpierw trafić na kontynent, a woda Selters i szampan musiały zostać skonsolidowane w jednym miejscu, mój wzrok skierował się na największy port przeładunkowy tamtych czasów: Hamburg - opisuje Truszyński.

Weryfikacja tej tezy skierowała naszego rozmówcę do Amsterdamu, gdzie w archiwach przez lata gromadzono dane dotyczące statków, ich ładunków, listy pasażerów itp. Konieczne było dosłownie „przekopanie" się przez stosy dokumentów - zarówno w papierowej, jak i cyfrowej już wersji. - Natrafiłem na kilka wraków z tego okresu. Jeden z nich pasuje poprostu idealnie do naszego obiektu. Zgadza się wszystko: wielkość jednostki, liczba masztów oraz manifest ładunkowy. W oficjalnych dokumentach tego statku wpisano dokładnie to, co znaleźliśmy na dnie: szampany, wodę Selters, porcelanę, wino w beczkach i skóry. Statek ten miał na pokładzie rzeczy, których jeszcze fizycznie nie odnaleźliśmy: porcelanę Villeroy & Boch, przyrządy pomiarowe oraz... meteoryty transportowane od księcia Nassau jako osobisty podarek dla cara rosyjskiego Aleksandra II! To idealnie tłumaczyło, dlaczego tak luksusowy ładunek płynął w kierunku Petersburga - mówi Truszyński.

Dwuletnie śledztwo przyniosło mnóstwo odpowiedzi. - Nasza wiedza jest dziś potężna, ale historia wciąż nie ma ostatecznego końca. Nie chcę jeszcze zdradzać oficjalnej nazwy statku, dopóki nie dotkniemy ostatecznego dowodu. Czekamy na oficjalne pozwolenie od rządu Szwecji na kolejną wyprawę. Naszym celem będzie przekopanie górnych warstw wraku, usunięcie skrzyń i znalezienie elementu, który w 100 proc. potwierdzi jego tożsamość. Gdy to się stanie, poznamy pełną historię. Jesteśmy o krok od odsłonięcia jednej z największych tajemnic Bałtyku - mówi nasz rozmówca.

eprasa.pl 5a679bdc79

FENOMEN ZBIÓREK

Żeby żyć, musieli znaleźć sponsora. A raczej tysiące sponsorów

W crowdfundingu reguły są proste: dziesiątki tysięcy drobnych wpłat pozwalają uzbierać miliony, które dla pomijanych przez system pacjentów są często jedyną szansą na życie. Zdaniem jednych internetowe zbiórki łatają niedomagania służby zdrowia, w ocenie innych – są żyłą złota dla twórców platform. Jaka jest prawda?

Mirela Mazurkiewicz

Ludzie mierzący się z chorobą swoich bliskich są gotowi chwycić się wszystkiego, co daje nadzieję. Szczególnie w przypadku tych chorób, których leczenia nie sfinansuje system. Wtedy zaczyna się walka o życie i szukanie rozwiązania na własną rękę.

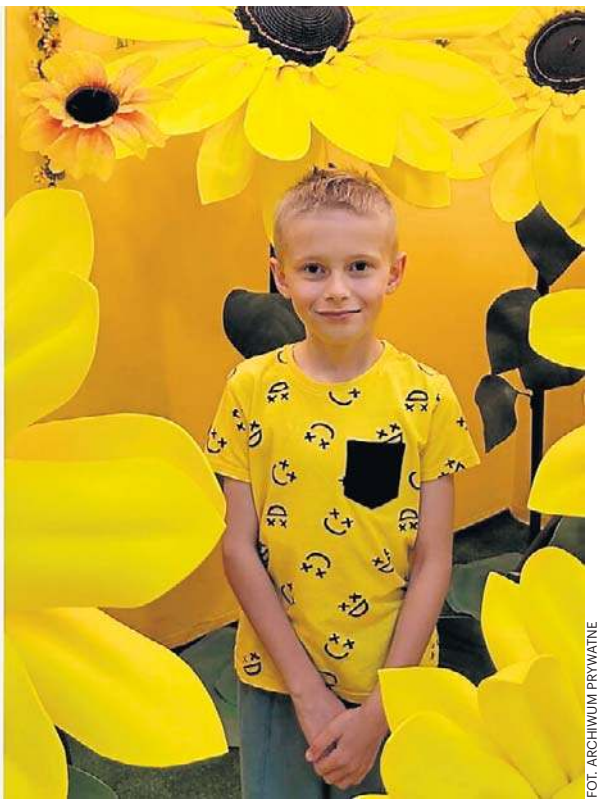

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dla 2,5-letniego Dawidka z Opola nie było ratunku w Europie. Potrzebne było 5 mln zł na operację w USA

Oczy matki

– Mój 2,5-roczny synek umiera. Ta operacja jest walką o jego życie – mówiła przez łzy Elżbieta Popardowska z Opola, mama chłopca, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy w lipcu 2018 roku.

Dla Dawidka Drapacza, który urodził się ze skomplikowaną wadą serca i płuc, nie było ratunku w Polsce, ani nawet w Europie. Prof. Hanley ze Stanford w USA uważał, że jest szansa całkowitego naprawienia wady, dzięki czemu Dawidek mógłby żyć jak jego rówieśnicy. Problemem były jednak gigantyczne koszty, bo operację wyceniono na ponad 5 milionów złotych. Stan chłopca z tygodnia na tydzień pogarszał się, dlatego zaczął się wyścig z czasem.

Pani Elżbieta w tamten lipcowy poranek przyszła do redakcji, aby poprosić o nagłośnienie zbiórki. Spojrzenie matki, która wie, że za oceanem jest szansa na życie dla jej dziecka, ale nie stać jej, by za tę szansę zapłacić, zostaje w pamięci na zawsze. Wówczas była to jedna z największych zbiórek na leczenie, jakie dotąd prowadzono w Polsce.

– Wiedziałam, że Dawidek nie jest jedynym dzieckiem, którego życie zależy od hojności darczyńców. Zastanawiałam się, jak ich przekonać, że moje dziecko zasługuje na to, by żyć, by zechcieli wesprzeć właśnie naszą zbiórkę – wspomina Elżbieta Popardowska, gdy rozmawiamy równo 8 lat po tych wydarzeniach. – Miałam żal do państwa, do systemu, że zostawili nas samych sobie...

Gdy informacja o śmiertelnie chorym 2,5-latku rozniosła się po kraju, darczyńcy wzięli sprawy w swoje ręce. Zbiórkę, prowadzoną za pomocą portalu Siepomaga.pl, wsparło blisko 200 tys. osób. Pieniądze płynęły nawet wówczas, gdy udało się zgromadzić całą potrzebną na operację kwotę.

Operacja zakończyła się sukcesem, ale trzy lata później chłopiec ponownie poleciał do USA na rutynowy zabieg cewnikowania i na kontrolę. Pojawiły się jednak komplikacje, a lekarze orzekli, że jedyną szansą na uratowanie życia Dawidka jest kolejny zabieg. Dla rodziców był to szok, bo aby go opłacić, ponownie musieli zebrać 5 milionów złotych. Ruszyła zbiórka, ale osiągnięcie wymaganej kwoty było praktycznie nierealne. Wtedy przyszła decyzja z Narodowego Funduszu Zdrowia, że leczenie w Stanford zostanie sfinansowane przez państwo.

Dziś Dawid ma 10 lat, jest pozytywnym chłopcem i na każdym kroku stara się dorównać rówieśnikom.

– Uwielbia WF oraz grę w piłkę. On już zawsze będzie dzieckiem sercowym. Bierze leki, ma swoje ograniczenia, a ja boję się, gdy wybiega na boisko. Ale nie chcę zabierać mu tego, co daje mu radość – mówi jego mama. – Mam poczucie, że to darczyńcy sprezentowali Dawidkowi życie. Dla systemu, który rządzi się twardą ekonomią, był to po prostu kolejny pacjent. Dla nas – cały świat.

Sepsa zabrała Bartusiowi rączki i nóżki

Nie tylko Dawidek sporo zawdzięcza darczyńcom. Jolanta i Roland Kurhoferowie z Jełowej w gminie Łubniany mieli już dwójkę dorosłych dzieci, gdy w 2010 roku okazało się, że ich rodzina znowu się powiększy. O tym, że synek ma zespół Downa, dowiedzieli się dopiero po porodzie. Świat im się zawalił. Obawiali się, że dzieci będą wytykały Bartusia palcami. Nie wiedzieli jeszcze, że to dopiero początek ich walki.

Chłopiec nie chorował, choć lekarze uprzedzali, że z uwagi na zespół Downa może mieć problemy z odpornością. Latem 2011 roku, gdy miał 11 miesięcy, Kurhoferowie bawili się na weselu. Bartuś był radosny, rozbawiał wszystkich dookoła.

Jesteśmy jedynym krajem członkowskim w Unii Europejskiej, który nie posiada systemu wsparcia pacjenta w chorobach rzadkich

PROF. ROBERT ŚMIGIEL
genetyk kliniczny UM we Wrocławiu

– W życiu byśmy nie podejrzewali, że za moment lekarze będą walczyć o jego życie – wspomina pani Jolanta. – W poniedziałek dostał wysokiej gorączki. W nocy dołączyły do tego wymioty i biegunka. Jego stan gwałtownie się pogarszał. Gdy byliśmy w drodze na SOR, on tracił już przytomność.

Rano rodzice dowiedzieli się, że dziecko ma sepsę, a jego stan jest krytyczny. Przestawały pracować wątroba, płuca, nerki i Bartuś w każdej chwili mógł umrzeć. – Lekarz dawał jeden procent szans, że synek z tego wyjdzie – wspomina pani Jolanta.

Gdy z powodu martwicy nóżki i rączki zaczęły robić się czarne, zapadła decyzja o amputacji wszystkich kończyn. Chłopiec przez siedem tygodni był w śpiączce, ale ku zdumieniu lekarzy jego stan w końcu zaczął się poprawiać. Po trzech miesiącach Bartuś wrócił do domu.

– Gdyby nie zbiórki, nie poradzilibyśmy sobie – ocenia po latach pani Jolanta. – Byliśmy zwykłą rodziną. Ja po urodzeniu Bartka nie wróciłam do pracy, bo synek wymagał opieki. Mąż był na strażackiej emeryturze. Szybko okazało się, że koszty leczenia, rehabilitacji i zakupu akcesoriów dla dziecka z tak dużą niepełnosprawnością znacznie przekraczają nasze możliwości finansowe. To były dziesiątki tysięcy złotych.

W przyszłym miesiącu Bartek skończy 16 lat. Lubi oglądać filmy akcji, słucha muzyki i regularnie jeździ z tatą na mecze – zarówno piłki nożnej, jak i siatkówki.

– To taki przytulaśny, kochany chłopiec. Jestem szczęśliwa, że mamy go obok – rozpromienia się pani Jolanta, choć wydarzenia sprzed 15 lat pamięta tak, jakby rozegrały się wczoraj. – Każdy darczyńca, który podarował Bartusiowi choć złotówkę, ma swój wkład w to, jak wspaniałym on jest dziś chłopcem.

Choroby sieroce, czyli niczyje

W przypadku Dawida i Bartka zbiórki przyniosły efekt. Nie wszyscy pacjenci – zarówno mali, jak i dorośli – mają tyle szczęścia. Sporo osób w trwających obecnie na platformach internetowych zbiórkach upatruje szans na diagnozę. Jak na przykład rodzice Amelki i Oskarka, u których pojawiło się podejrzenie dwóch rzadkich chorób genetycznych, a diagnostyka przekracza możliwości finansowe rodziny.

Choroby rzadkie to spory problem. Nie bez powodu nazywa się je „orphan disorders", czyli w tłumaczeniu chorobami sierocymi. Historycznie nazwa ta miała związek z niewielkim zainteresowaniem badaniami nad nimi, bo mała liczba pacjentów wymagających takiego leczenia oznaczała też relatywnie niewielkie zyski dla koncernów. Ale przejawów osierocenia jest więcej, m.in. gdy popatrzymy na systemowe podejście do nich.

– Jesteśmy jedynym członkiem Unii Europejskiej, który nie posiada systemu wsparcia w chorobach rzadkich – ocenia prof. Robert Śmigiel, genetyk kliniczny z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu oraz członek działającej przy Ministerstwie Zdrowia Rady ds. Chorób Rzadkich. – Wszystkie kraje unijne, oprócz nas, mają narzucony odpowiednim rozporządzeniem Plan dla Chorób Rzadkich. Taki plan, two-

eprasa.pl 5a679bdc79

rzony przez ministerstwo, miałby poprawić diagnostykę, leczenie i jakość życia pacjentów, ale do osiągnięcia satysfakcjonującego poziomu wciąż jeszcze u nas daleko. Pewnie wynika to z braku przestrzeni decyzyjnej, finansowej, ale myślę też, że politycznej. Jesteśmy tym zmęczeni i sfrustrowani, bo cały czas zostajemy w ogonie Europy.

Definicja chorób rzadkich opiera się nie na objawach czy przyczynach, bo są to schorzenia z różnych dziedzin medycyny, ale na częstości ich występowania. W 80 proc. są to choroby uwarunkowane genetycznie. Wiele z nich, bo aż 75 proc., dotyka dzieci.

– W 93 proc. przypadków nie ma leczenia przyczynowego, które można by było zastosować. Pacjentom w XXI wieku trudno w to uwierzyć – mówi prof. Śmigiel. – Polska nie ma powodów do kompleksów, jeśli chodzi o wykorzystanie nowatorskich metod terapeutycznych, o ile są one udowodnione naukowo. Tu problem jest inny: pacjent lub jego bliscy często są gotowi sięgnąć po każde rozwiązanie, które daje cień nadziei. Nawet jeśli jest to leczenie na przykład za oceanem, związane z ogromnymi wydatkami. Ja wiem, że w przypadku tego konkretnego pacjenta skutkiem będzie pogorszenie stanu zdrowia, może niepełnosprawność intelektualna, a nawet śmierć, ale pacjent mi nie wierzy. On, mówiąc obrazowo, decyduje się na lot w kosmos, ale wraca z niczym.

Prof. Śmigiel nie jest zaskoczony, że ludzie mierzący się z rzadką chorobą są gotowi chwycić się wszystkiego, co daje nadzieję. Uważa jednak, że wynika to z braku zaopiekowania przez system.

– Taki pacjent i jego bliscy, po wyjściu z mojego gabinetu, powinien trafić pod opiekę psychologa, który pomoże oswoić się z sytuacją. Tymczasem on zostaje sam i zaczyna szukać rozwiązania na własną rękę. Ma do dyspozycji internet, gdzie prawda miesza się z półprawdą, a czasami kłamstwem, a wtedy łatwo jest uwierzyć w coś, co jest iluzją – tłumaczy genetyk. – Czasami sama diagnostyka potrafi trwać kilka lat, choć ja wiem, że mając do dyspozycji konkretne badania, odpowiedź mielibyśmy w ciągu kilku miesięcy. Nie mogę jednak z nich skorzystać, ponieważ nie ma ich w koszyku świadczeń gwarantowanych, czyli nie są finansowane w ramach NFZ. I to jest kolejny problem. W przypadku chorób rzadkich samo rozpoznanie już jest sukcesem. Dlatego pacjenci lub ich bliscy zakładają zbiórki na portalach i szukają finansów na to, co świat proponuje w zakresie diagnostyki oraz nowych form terapii.

Ile można wydać na dodatkowy rok życia?

Z danych, które otrzymaliśmy z Ministerstwa Zdrowia wynika, że w latach 2022-2025 do resortu wpłynęło ok. 200 wniosków o objęcie refundacją leków stosowanych w leczeniu chorób rzadkich, z czego około 30 wniosków otrzymało decyzję negatywną.

– Warto przy tym wspomnieć, że z ww. wniosków ok. 10 terapii zostało zawnioskowanych ponownie i zostało objętych refundacją – wyjaśnia biuro prasowe ministerstwa.

Minister, podejmując decyzję o refundacji, bierze pod uwagę m.in. tzw. wysokość progu kosztu uzyskania dodatkowego roku życia skorygowanego o jakość, który w lipcu 2026 roku wynosił blisko 245 tys. złotych (czyli trzykrotności PKB na jednego mieszkańca). To oznacza, że państwo wycenia jeden dodatkowy rok życia pacjenta w dobrym zdrowiu na maksymalnie ok. 245 tys. zł. Każda terapia droższa od tego punktu odniesienia staje pod znakiem zapytania, choć wciąż może zostać objęta finansowaniem.

– Jest to próg brany pod uwagę w ocenie efektywności kosztowej technologii i przy wydaniu decyzji refundacyjnej, jednak jego przekroczenie nie jest równoznaczne z odmową objęcia leku refundacją – zaznacza resort zdrowia. – Mając na uwadze specyfikę terapii stosowanych w chorobach rzadkich, w szczególności wysoki koszt jednostkowy takich terapii, nie powinno być zaskakujące, że przyczynami odmowy objęcia refundacją niejednokrotnie są okoliczności o charakterze ekonomicznym.

Może to być brak możliwości ustalenia odpowiedniego instrumentu podziału ryzyka, istnienie tańszych alternatyw czy nieefektywność kosztowa leku, gdy dodatkowe korzyści zdrowotne są niewspółmiernie małe wobec kosztów ponoszonych przez płatnika publicznego.

W projekcie ustawy refundacyjnej Minister Zdrowia proponuje wprowadzenie analizy wielokryterialnej (MCDA), która ma uwzględniać przy ocenie leków szersze spektrum czynników niż tylko koszty i efektywność, realizując przy tym postulat z ramowego Planu dla Chorób Rzadkich. To miałoby przybliżyć Polskę do innych krajów europejskich już stosujących ten model.

Crowdfunding, czyli sponsor poszukiwany

Ci, którzy nie mogą liczyć na pomoc państwa, często starają się zgromadzić pieniądze na portalach zbiórkowych. Spopularyzowany w ostatnich latach crowdfunding to internetowa zrzutka pieniędzy na określony cel. Zamiast iść po pożyczkę do banku lub szukać jednego bogatego sponsora, organizatorzy proszą o drobne wpłaty setki lub tysiące ludzi na całym świecie.

Do najpopularniejszych w Polsce serwisów zbiórkowych należą Siepomaga.pl, Zrzutka.pl oraz Pomagam.pl. Zapytaliśmy operatorów wszystkich trzech platform m.in. o to, ile zbiórek o charakterze medycznym zostało u nich założonych w ostatnich latach oraz jaką łączną kwotę udało się w ten sposób zebrać.

Siepomaga.pl nie zareagowało na naszą wiadomość

Dobrosława Gogłoza, dyrektor zarządzająca w serwisie Pomagam.pl, przyznaje, że zbiórki na leczenie i rehabilitację od lat stanowią największą kategorię na platformie. Nie podaje natomiast konkretnych kwot, tłumacząc, że to dawałoby mylący obraz crowdfundingu „jakby był on narzędziem do pozyskania dużych pieniędzy". – Duża liczba zakładanych zbiórek tworzy za to poczucie, że jest to jakaś konkurencja, w której dana osoba może sobie nie poradzić – argumentuje.

Więcej światła na zjawisko crowdfundingu rzucają dane, które udostępniła nam Zrzutka.pl. W latach 2022-2025 założono tam prawie 100 tys. zbiórek o charakterze medycznym. Dzięki nim m.in. na leczenie, rehabilitację, diagnostykę czy opłacenie kosztownych terapii udało się zebrać blisko pół miliarda złotych. To pokazuje, że średnio każdego dnia na platformie powstawało 68 nowych zbiórek medycznych.

– W 2026 roku byliśmy świadkami głośnej zbiórki youtubera Łatwoganga, który zbierał środki na bardzo kosztowną terapię dla dzieci chorych na DMD (Dystrofia mięśniowa Duchenne'a). Koszt jednej terapii genowej to 15 mln zł. Na portalu Zrzutka.pl udało się zebrać prawie 11 mln zł. Wpłat dokonało prawie 229 tysięcy osób, co pokazuje, jak każda mała wpłata przyczynia się do realnej pomocy – mówi Tomasz Chołast, współzałożyciel portalu Zrzutka.pl.

Ile platformy zbiórkowe zarabiają na darczyńcach?

Potencjalni darczyńcy często zastanawiają się nad tym, czy internetowej zbiórce można ufać. Czy ktokolwiek sprawdza, na co są przeznaczane pieniądze? Zrzutka.pl weryfikuje dokumentację, sprawdzając jej wiarygodność, ale zastrzega, że nie jest to ocena medyczna zasadności danej formy leczenia. Podobnie jest w przypadku Pomagam.pl.

– Najsilniejszą warstwą weryfikacji jest natomiast mechanizm społeczny: pierwsze wpłaty i udostępnienia pochodzą niemal zawsze od rodziny i bliskich, którzy znają sytuację – i to oni nadają zbiórce wiarygodność. Zbiórka osoby zupełnie anonimowej, bez tego kręgu, praktycznie nie ma szans się rozejść – uważa Dobrosława Gogłoza z serwisu Pomagam.pl.

Inną kwestią jest zarabianie na zbiórkach. Darczyńcy często zastanawiają się, czy serwisy pomocowe zatrzymują część wpłacanych na rzecz potrzebujących pieniędzy. Zrzutka.pl nie pobiera obowiązkowej prowizji ani od organizatorów zbiórek, ani od darczyńców, choć – jak podkreślają twórcy – platforma stale się rozwija, by zwiększać skuteczność akcji.

– Działamy w modelu „Pay What You Want", co oznacza, że zarówno beneficjent, jak i każda osoba dokonująca wpłaty, sama decyduje, czy i w jakiej wysokości chce wesprzeć rozwój platformy – wyjaśnia Tomasz Chołast. – Inne platformy crowdfundingowe w Polsce operują w innych modelach, np. Siepomaga.pl pobiera obowiązkową prowizję od każdej wpłaty w wysokości 6 proc.

Prowizji nie pobiera natomiast Pomagam.pl. – Serwis utrzymuje się z dwóch dobrowolnych źródeł: dobrowolnych datków, które darczyńca może (ale nie musi) zostawić serwisowi przy okazji wpłaty na zbiórkę, oraz z opcjonalnej, płatnej promocji zbiórki, którą organizator może świadomie wybrać – podkreśla Dobrosława Gogłoza, dyrektor zarządzająca w serwisie.

Crowdfunding psuje system?

Można spotkać się z zarzutem, że medyczny crowdfunding odciąża państwo i tym samym zmniejsza presję na wypracowywanie systemowych rozwiązań. Dobrosława Gogłoza z Pomagam.pl uważa, że gdyby zbiórek nie było, problem wcale by nie zniknął. Ludzie sięgaliby po kredyty, sprzedawaliby mieszkania, by mieć za co się leczyć, albo korzystaliby z nietransparentnych wpłat na prywatne konta, a wtedy darczyńca nie miałby żadnej gwarancji, że jego wsparcie trafi na deklarowany cel.

– Zmiany systemowe czy zmiany w sposobie finansowania różnych świadczeń potrafią trwać lata – dla niektórych osób to może być już za późno – uważa Dobrosława Gogłoza. – Zbiórki te problemy raczej uwidaczniają niż ukrywają – pokazują publicznie, na co konkretnie ludzi nie stać. Z mojej perspektywy znacznie większym, realnym problemem jest to, że wiele osób, którym zbiórka mogłaby pomóc, w ogóle jej nie zakłada, bo się wstydzi prosić o pomoc.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Bartek był niemowlakiem, gdy sepsa zabrała mu kończyny. Lekarze dawali mu 1 procent szans na przeżycie

W latach 2022-2025 założono na naszym portalu prawie 100 tysięcy zbiórek o charakterze medycznym

TOMASZ CHOŁAST
współzałożyciel portalu Zrzutka.pl

eprasa.pl 5a679bdc79

KOŚCIÓŁ

„Humanae vitae". Katolicyzm kontra rewolucja seksualna

Rankiem 25 lipca 1968 r., po modlitwie o światło Ducha Świętego, papież Paweł VI ogłosił jeden z najważniejszych dokumentów Kościoła katolickiego – encyklikę o „zasadach moralnych w dziedzinie przekazywania życia ludzkiego

Mariusz Grabowski

Dla krytyków nauki moralnej katolicyzmu „Humanae vitae" to najbardziej kontrowersyjna encyklika w najnowszych dziejach Kościoła. Nie do pogodzenia z realiami liberalnego świata. Dlaczego encyklika Pawła VI wciąż budzi tyle emocji?

„Raport większości"

To, że recepcja encykliki nie będzie łatwa, było jasne już w chwili jej powstawania. Watykanista Andrea Tornielli opisuje, że gdy w październiku 1967 r., czyli podczas pierwszego Synodu Biskupów w Watykanie, Paweł VI poprosił biskupów o w sprawie przyszłego dokumentu, był wielce zdumiony ich reakcją.

Na 200 hierarchów odpowiedziało tylko 26, z czego większość wypowiedziała się za większą liberalizacją katolickiej nauczania w kwestiach etyki, głównie za akceptacją pigułki antykoncepcyjnej, a tylko siedmiu było jej przeciwnych. Wśród tej siódemki byli m.in. Amerykanin bp Fulton Sheen, którego beatyfikacja zapowiadana jest na wrzesień 2026 r. i abp Karol Wojtyła z Krakowa.

Papież doszedł wówczas do wniosku, że należy utrzymać dotychczasowe nauczanie w tej materii, gdyż – jak argumentował – „nie zaszły żadne okoliczności usprawiedliwiające odejście od linii wyznaczonej przez jego poprzedników". Jakaś zmiana jednak zaszła – encyklika „Humanae vitae" została ogłoszona bez statusu nauczania nieomylnego, czego wiele osób oczekiwało.

Rola abpa Wojtyły

Wspomniany wyżej biskup krakowski Wojtyła jest w tej historii postacią znaczącą. Gdy na prośbę Pawła VI utworzył w Krakowie komisję, która miała przygotować materiały do przyszłej encykliki, miał już na koncie książę „Miłość i odpowiedzialność" z 1960 r., studium etyczne miłości i małżeństwa.

Członek tej komisji ks. Andrzej Bardecki, wieloletni asystent kościelny „Tygodnika Powszechnego" wspominał później: „Wspólnie w szeregu spotkań, przygotowaliśmy materiały, które kardynał Wojtyła przekazał Pawłowi VI. Kiedy porównywałem potem encyklikę »Humanae vitae« z naszymi materiałami, stwierdziłem, że co najmniej 60 procent materiałów krakowskich weszło do encykliki".

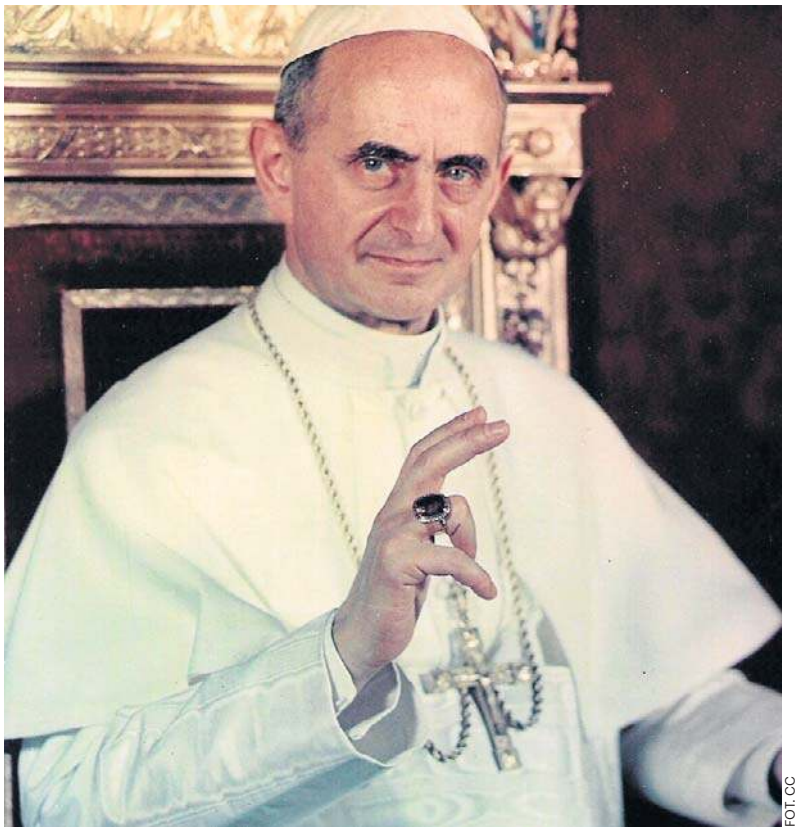

FOT. CC

Przeciwnicy przyjętej przez papieża Pawła VI encykliki uważali, że „Humanae vitae" odeszła od zasad Soboru Watykańskiego II

Niemal natychmiast po publikacji encyklika wywołała falę głosów krytycznych, które zresztą nie milkną do dziś, a niekiedy wręcz się nasilają. Skłoniły one zresztą wiele episkopatów do szerszego i głębszego upowszechnienia idei „Humanae vitae" wśród wiernych.

„Wielka radość"

Sięgnijmy do tekstu. „Bardzo doniosły obowiązek przekazywania życia ludzkiego, dzięki któremu małżonkowie stają się wolnymi i odpowiedzialnymi współpracownikami Boga-Stwórcy – pisze papież we wstępie – napełnia ich zawsze wielką radością z którą jednak idą niekiedy w parze niemałe trudności i kłopoty. Jeżeli w każdej epoce pełnienie tego obowiązku stawiało przed sumieniem małżonków trudne problemy, to współczesny rozwój społeczeństwa ludzkiego spowodował takie przemiany, że powstały nowe zagadnienia, których Kościołowi nie wolno pomijać milczeniem, ponieważ odnoszą się one do spraw tak ściśle związanych z życiem i szczęściem ludzi".

I dalej: „W tym stanie rzeczy narzucają się nowe pytania: Czy, biorąc pod uwagę zarówno warunki współczesnego życia, jak i znaczenie stosunków małżeńskich dla harmonii i wzajemnej wierności między małżonkami, nie należałoby poddać rewizji obowiązujących dotąd zasad moralnych, szczególnie jeżeli się zważy, że można je zachować tylko za cenę wielkich, niekiedy heroicznych poświęci?".

Aborcji stanowcze: „nie"

Najważniejsze, ale też budzące najwięcej sprzeciwów tezy można sprowadzić do tego, że „każdy akt małżeński musi być otwarty na przekazywanie życia", ale choć Kościół dopuszcza naturalną regulację poczęć, to zabronione zostało jakiekolwiek działanie o charakterze antykoncepcyjnym i wczesnoporonnym".

„Małżeństwo i miłość małżeńska z natury swej skierowane są ku płodzeniu i wychowywaniu potomstwa. Dzieci są też najcenniejszym darem małżeństwa i samym rodzicom przynoszą najwięcej dobra" – pisze Paweł VI.

Dalej podkreśla: „Czujemy się w obowiązku raz jeszcze oświadczyć, że należy bezwarunkowo odrzucić - jako moralnie niedopuszczalny sposób ograniczania ilości potomstwa bezpośrednie naruszanie rozpoczętego już procesu życia, a zwłaszcza bezpośrednie przerywanie ciąży, choćby dokonywane ze względów leczniczych.

Bunt hierarchów

Krytyka dokumentu spadła na Kościół nie tylko ze strony środowisk liberalnych i progresywnych, ale też z wewnątrz.

Już 30 sierpnia 1968 r., czyli dwa miesiące po opublikowaniu „Humanae vitae", episkopat Niemiec wydał tzw. „Deklarację z K nigstein", w której stwierdzono, że encyklika nie spełnia wymogów papieskiej nieomylności, zatem biskupi dali wiernym wolną rękę w korzystaniu z antykoncepcji, która „jest pomocna ludziom".

Prymas Holandii, kard. Bernardus Johannes Alfrink, stwierdził, że encykliki nigdy nie są nieomylne, a najważniejszą normą pozostaje sumienie. Ten sam hierarcha w 1969 r. razem z setką księży i ośmioma biskupami ogłosił „Deklarację Niepodległości", w której wzywał holenderskich katolików do odrzucenia „Humanae vitae".

Szczególnie dotkliwym dla Pawła VI ciosem był sprzeciw prymasa Belgii, kard. Léona-Josepha Suenensa, jego osobistego przyjaciela. Wypowiedział on posłuszeństwo papieżowi i oskarżał go o lekceważenie zasady kolegialności w Kościele z powodu „przesadnego przywiązania do papieskiego autorytetu".

Czasami niezadowolenie duchownych przebierało formę otwartego buntu. W sierpniu 1968 r. w katedrze Santiago de Chile ośmiu księży zabarykadowało się i przez 14 godzin okupowało świątynię, sprzeciwiając się w ten sposób planowanej podróży Pawła VI do Kolumbii.

Zamęt teologów

Na otwartą wojnę z papieżem poszli też wpływowi teologowie. Głośną stałą się sprawa Josepha Gallaghera, tłumacza Soboru Watykańskiego II i profesor filozofii, który zrezygnował z przyznanego mu tytułu prałata, ponieważ ta godność zobowiązywała go do specjalnej wierności papieżowi. „Humanae vitae" uznał za „tragiczną i przerażającą", nie pozwalała mu na bycie dalej wiernym następcy św. Piotra.

Przeciwny encyklice byli także popularny teolog-moralista ks. Bernhard Häring, który uważał, że „Humanae vitae" odeszła od zasad Soboru Watykańskiego II i nie może ona być „ostatnim słowem Kościoła, oraz wpływowy jezuita Karl Rahner.

Ten ostatni, kontestując niezmienność nauki podanej przez Pawła VI pisał: „Chcemy jedynie pokazać, iż poza teoretyczną możliwością niezawinionego błędu sumienia istnieją również racje, dla których w tym konkretnym przypadku również w sumieniu autentycznie katolickim można by w sposób psychologicznie zrozumiały dojść do (subiektywnego) przekonania, że nie jest się związanym z papieską normą"

Wciąż obowiązuje

W kwestii nauki moralnej zawartej w „Humanae vitae" Kościół nie zmienił zdania do dziś. W 50. rocznicę wydania encykliki nawet papież Franciszek, skądinąd uważany za „postępowego", potwierdził w „Amoris Laetitia" aktualność zawartego w niej nauczania. Papież przytoczył zwłaszcza te punkty, które ukazują normy etyczne stosunku seksualnego małżonków.

„Humanae Vitae" promuje racjonalne myślenie o seksualności, opierając się na cnotach czystości i rozumu. Jak podkreślał jezuita Bertrand de Margerie, owo racjonalne podejście nie oznacza wcale nieograniczonej autonomii intymnego życia pary ani stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych.

„Dokument chwali pokorną i całkowitą racjonalizację sfery seksualnej, podporządkowaną rozumowi ludzkiemu i kontroli wolności wspomaganej łaską" – pisał i dodawał: „Św. Paweł VI odwołuje się wprost do wolności człowieka, odróżniając ją od instynktów wspólnych ludziom i zwierzętom".

eprasa.pl 5a679bdc79

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Chandlerze** Zbliża się 138. rocznica urodzin Raymonda Chandlera (urodził się 23 lipca 1888 r. w Chicago, zmarł 26 marca 1959 r. w La Jolla), amerykańskiego autora opowiadań i powieści, czołowego twórcy czarnego kryminału.

HISTORIA LITERATURY

Zagadka kryminalna Aleksandra Dumasa. Kim był Stefan Moinjski?

Marek Adamkowicz

„Trzej muszkieterowie", „Hrabia Monte Christo", „Królowa Margot" to powieści, którymi Aleksander Dumas (1802-1870) zawładnął wyobraźnią kolejnych pokoleń czytelników.

Zasługujących na uwagę książek tego autora jest jednak więcej. Choćby powieść „Biali i Niebiescy" („Les Blancs et les Bleus"), której akcja obejmuje lata 1793-1799. Książka jest uważana za pierwszą z dumasowskiego tzw. „cyklu napoleońskiego",a jej kontynuacją są „Towarzysze Jehudy" oraz „Kawaler de Sainte Hermine". Wprawdzie pod względem artystycznym nie dorównuje ona najpoczytniejszym tytułom Dumasa, ale za to z jednego powodu jest ona niezwykła. Znaleźć tu bowiem nie tylko akcenty polskie, ale też zagadki historyczno-kryminalne.

Wojak z Gdańska

„Białych i Niebieskich" Dumas opublikował w roku 1867 i ta pozycja nigdy nie została przetłumaczona na język polski. Jednym z bohaterów książki jest Polak, a zatem postać unikatowa w twórczości Dumasa. Wedle opisu literackiego jest to były żołnierz Kościuszki, uchodźca, któremu po nieudanej próbie obrony Gdańska przed Prusakami w 1793 r. udaje mu się przedostać do Francji. Tam zgłasza się do gen. Pichegru, dowódcy Armii Renu, by pod jego komendą kontynuować walkę z zaborcami.

Jest prawdopodobne, że postać Polaka jest na kimś wzorowana, a to dlatego, że książkajest nie tyle powieścią historyczną, „roman historique", co raczej historią beletryzowaną, tzw. „histoire romantique. Pierwsza część została oparta na wspomnieniach Charlesa Nodiera.

Ów Nodier - pisarz, dziennikarz i bibliotekarz i prekursor romantyzmu - w czasie wojen rewolucyjnych przebywał w sztabie gen. Pichegru. Zakładając, że Dumas nie odszedł zanadto od jego wspomnień, wiemy o naszym Polaku tyle, że „miał ubiór biednego podróżnika, który dużo maszerował i przemierzył spory kawał drogi.

Karykatura Dumasa, „wygotowującego" swoje opowieści. Kpiono, że jego ojciec - Thomas-Alexandre Dumas, generał w armii Napoleona, zawdzięczał karierę kolorowi skóry

Nosił futrzaną czapkę z lisa, rodzaj bluzy z koziej skóry sierścią odwróconej do wewnątrz i ściągniętej w talii skórzanym pasem. Przez otwory uczynione w górnej części tego kirysu wychodziły rękawy wełnianej koszuli w paski. Stroju dopełniały długie, sięgające powyżej kolan buty o podeszwach w fatalnym stanie". Dodatkowe informacje pojawiają się dalej. „Z jego blond włosów, jego jasnoniebieskich niemal dzikich oczu, z wąsa o kolorze lnu, silnie zarysowanego podbródka i szerokich szczęk Pichegru wywnioskował, że ma przed sobą przedstawiciela rasy z północy" i stwierdził, że „każdy Polak musi być dzielny".

Niejako w odpowiedzi na komplement Pichegru otrzymał do wglądu list sygnowany nazwiskiem Tadeusza Kościuszki, w którym stało: „Wszystkim walczącym o niepodległość i wolność swego kraju polecam tego dzielnego człowieka. Był ze mną pod Dubienką".

Krew polskiej rasy

Czytajmy dalej ten zagadkowy tekst: „W mych żyłach płynie krew owej polskiej rasy, która straciła miasto w 1308 roku, odzyskała je w 1454 i broniła go przed Stefanem Batorym w 1575. Od tamtego czasu Gdańsk posiadał polskie stronnictwo, które za broń chwyciło na wezwanie Kościuszki. Razem z bratem i ojcem z karabinami w dłoni zasililiśmy powstańcze szeregi (...)

Jakiś czas później Stanisław (August Poniatowski - przyp. aut.) uległ woli Katarzyny. Kościuszko, nie chcąc uchodzić za wspólnika kochanka carycy, podał się do dymisji, a my z bratem i ojcem powróciliśmy do Gdańska, gdzie wznowiłem studia. Pewnego ranka dowiedzieliśmy się, że Gdańsk oddany został Prusom. Było nas dwa lub trzy tysiące patriotów, którzy jedną ręką protestowali, a drugą chwycili za karabin. (...) Stawiliśmy czoła pruskiemu korpusowi, który przybył zawładnąć miastem. Ich było dziesięć tysięcy, nas tysiąc osiemset.

Tysiąc naszych legło na polu bitwy. W ciągu trzech kolejnych dni zmarło z ran trzystu następnych. Pozostało pięciuset. Wszyscy byli tak samo winni, ale nasi wrogowie okazali się wspaniałomyślnym przeciwnikiem. Podzielono nas na trzy kategorie. Pierwszą miano rozstrzelać. Drugą przeznaczono na szubienicę. Trzecia pozostawała przy życiu po otrzymaniu pięćdziesięciu batów. (...) Po otrzymaniu pięćdziesięciu batów stawałem się wolnym (...)".

Na tropie Stefana

Wolnym, ale bez prawa pozostania w Gdańsku. Prusacy odstawili nieszczęśnika do granicy, a ten - via Kostrzyn, Frankfurt i Lipsk - przeszedł do Francji, gdzie stał się szpiegiem gen. Pichegru. Przy tej okazji Gdańszczanin złożył dość pompatyczną deklarację: „Oto dziś ofiaruję panu swe usługi. Kształciłem się w naukach ścisłych. Mówię pięcioma językami tak jak po francusku. Potrafię na przemian uchodzić za Niemca, Anglika, Rosjanina lub Francuza. Pod dowolnym przebraniem mogę przekradać się do miast, fortec i naczelnych sztabów. Mogę Panu dostarczać wszelkich informacji, umiem kreślić plany. Będąc dzieckiem, dziesięciokrotnie przemierzałem wpław Wisłę. W sumie - nie jestem człowiekiem, jestem narzędziem. Przestałem zwać się Stefan Moinjski, zwę się Zemsta!".

Chociaż Dumas podaje nazwisko emigranta, to jego identyfikacja nie jest sprawą prostą.

Przeglądając dostępne teksty Charlesa Nodiera, w szczególności „Episodes de la Révolution", można wywnioskować, że to na nich Dumas oparł początek „Białych i Niebieskich".

Ale nie ma tam nie tylko Moinjskiego, ale i żadnego Polaka. Warto jednak zauważyć, że w tejże przedmowie do „Białych i Niebieskich" Dumas oświadcza, że opierał się nie tylko na tekstach, ale również na przekazach ustnych Nodiera. Ponadto w wydanej w 1883 r. książce „Les dernieres années d'Alexandre Dumas, 1864-1870" autor - Gabriel Ferry, który dobrze znał Dumasa - pisze m.in. sporo na temat „Białych i Niebieskich" i kulis ich powstania.

Śledztwo bez efektu

Wątpliwości co do autentyczności postaci Moinjskiego potęgują występujące w książce nieścisłości. Skoro bowiem są rozbieżności w faktach historycznych, to z tym większą swobodą Dumas mógł kreować postać fikcyjną. Pisarz podał np. niezbyt dokładną datę wojny Gdańska ze Stefanem Batorym, który działania zbrojne przeciwko miastu, które nie uznało elekcji, toczył dwa lata później.

Wzmianka Moinjskiego o studiach w Gdańsku każe nam myśleć o Gimnazjum Akademickim, tyle tylko, że w spisie uczniów nie widać nikogo o nazwisku zbliżonym do bohatera Dumasa.

Na szczęście jest jeszcze postać godna uwagi Dumasa i naszej. To Stanisław Fiszer, który wprawdzie nie pochodził z Gdańska, ale z miastem wiąże go interesujący epizod. Urodzony w 1769 r. Fiszer zdobywał wykształcenie w słynnej Szkole Rycerskiej. Wyróżnił się w bitwie pod Dubienką i został odznaczony Virtuti Militari. Jesienią 1792 r. przybył nad Motławę z poufną misją.

W książce „Gdańsk a Polska" Szymon Askenazy zauważa, że Fiszer „pierwszy pomyślał o Gdańsku i postanowił na własną rękę zbadać wartość obronną jedynego portu Rzplitej". Do czego ta wiedza była potrzebna? „Owóż (wicebrygadier Jan Henryk) Dąbrowski (...) powziął myśl arcyśmiałą zgromadzenia armii polskiej wraz z załogą i artylerią warszawską, uderzenia na Prusaków, przerznięcia się do Gdańska i obwarowania się tam, a może doczekania się dywersji lub posiłków od Rewolucji francuskiej".

Pomysł nie został zrealizowany, a Fiszer, po upadku powstania kościuszkowskiego i zwolnieniu z niewoli, do której trafił w bitwie pod Maciejowicami, wyjechał do Francji. Tam wstąpił do Legii Naddunajskiej, formacji operującej w składzie... Armii Renu (wówczas gen. Pichegru już nią nie dowodził).

Bohater-odludek

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na dwa opisy dotyczące Fiszera. Pierwszy odnosi się do wyglądu zewnętrznego, a mianowicie wedle historyka wojskowości Bronisława Gembarzewskiego nasz bohater był wzrostu niskiego, „twarz miał pociągłą, nos wielki, włosy jasne, łopatkę jedną wyższą", natomiast w „Dziejach legionów polskich" Stanisława Schnür-Pepłowskiego można przeczytać, że podczas bytności w Paryżu Fiszer wiódł „tryb życia odosobniony. Wiecznie zapracowany w swem mieszkaniu, albo też w bibliotekach publicznych, nie bywał nigdzie, mimo częstych zaprosin".

Będąc w zasadzie nędzarzem, otrzymał pomoc od Tadeusza Kościuszki, pod którego komendą służył nie tylko w 1792 r., ale i w czasie insurekcji. Literacko wykorzystał to Władysław Reymont, umieszczając Stanisława Fiszera wśród bohaterów powieści „Rok 1794". Skoro więc dzielnego żołnierza docenił noblista, to dlaczego nie miałby tego zrobić autor „Białych i Niebieskich".

eprasa.pl 5a679bdc79

PODSUMOWANIE MUNDIALU

Przeżyjmy to jeszcze raz, czyli mistrzostwa świata w obiektywie Grzegorza Wajdy

Mundial rozgrywany na stadionach Ameryki Północnej przeszedł do historii. Jaki był?

Zestaw półfinalistów – a do tej fazy przebił się najwyżej notowany w rankingu FIFA kwartet – nie pozostawił złudzeń aspirantom do sukcesów. Turniej potwierdził hierarchię i siłę Anglii, Argentyny, Francji oraz Hiszpanii, choć w rozgrywce o wielki finał nie obyło się już bez niespodzianek. A w każdym razie pomylili się bukmacherzy, którzy typowali zupełnie inny skład meczu decydującego o tytule mistrza świata.

Z zamiarem odtańczenia last dance na stadiony Meksyku, Kanady i USA udała się naprawdę spora grupa zawodników w słusznym wieku i najlepiej wśród tego grona - nico już - starszych panów spisał się Leo Messi. Argentyńczyk wręcz oszukał metrykę: świetnie rozgrywał, asystował i strzelał jak młody bóg. Wskazał miejsce w szeregu zarówno Harry'emu Kane'owi, jak i Jude'owi Bellinghamowi.

Klasę na mundialu potwierdził również dość nieoczekiwany zdobywca Złotej Piłki w 2024 roku, kapitan reprezentacji Hiszpanii – Rodri.

FOT. GRZEGORZ WAJDA - USA

Rodri na mundialu grał kapitalnie. Jak na kapitana przystało

FOT.GRZEGORZ WAJDA - USA

Mistrzostwa świata w Ameryce Północnej były popisem Leo Messiego. Anglik Harry Kane nie nadążył

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Argentyna miała niesamowitą ofensywę, co udowodniła w meczu z Anglią. Obrona nie zawsze dorównywała jakością atakowi

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Mówisz: Hiszpania, myślisz: zespół – taki przez duże Z. Świetnie zorganizowany, z indywidualnościami na drugim planie

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Mistrzowie świata z Kataru w Ameryce Północnej mieli różne fazy. Momentami człapali, ale w końcówce półfinału dali wreszcie czadu

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Hiszpania była oszczędna w ofensywie, ale ich defensywa w drodze do finału spisywała się niemal bezbłędnie. To był klucz do sukcesu

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Luis de la Fuente, czyli profesor futbolu. Francuzi to potwierdzą

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Anglia wybiegła na mecz o 3. miejsce w mocno rezerwowym zestawieniu. Opłaciło się – zdobyła swój drugi medal po 60 latach

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

Lionel Scaloni – prawdziwy mistrz wśród szkoleniowców

FOT. GRZEGORZ WAJDA – USA

10 goli Kyliana Mbappe, 7 astyst Michaela Olise i tylko 4. miejsce Francuzów na mundialu na pożegnanie Didiera Deschampsa

eprasa.pl 5a679bdc79

PIŁKA NOŻNA

Marciniak pominięty. Listkiewicz: To skandal!

Szymon Marciniak może czuć się zawiedziony. Polak, który sędziował finał mundialu w 2022 roku, nie został tym razem w ogóle uwzględniony w fazie pucharowej. Decyzję FIFA specjalnie dla nas komentuje Michał Listkiewicz

Zbigniew Czyż

Szymon Marciniak poprowadził podczas zakończonych w niedzielę mistrzostw świata w USA, Kanadzie i Meksyku tylko dwa mecze. O decyzjach FIFA rozmawiamy z Michałem Listkiewiczem, byłym międzynarodowym sędzią.

Za nami finał mundialu i mecz o trzecie miejsce. Do prowadzenia żadnego z tych spotkań nie został wyznaczony Szymon Marciniak. Jak przyjął pan tę decyzję?

Rozgoryczenie, żal i niesprawiedliwość. Od początku wydawało się mało realne, żeby Szymon poprowadził finał, bo jeszcze nie zdarzyło się, aby ten sam arbiter sędziował dwa finały mundialu z rzędu. Ale to, że nie poprowadził żadnego ćwierćfinału czy półfinału, jest po prostu niesprawiedliwe. Marciniak jest wciąż jednym z najlepszych sędziów na świecie.

Co więcej, Marciniak nie został wytypowany do sędziowania żadnego meczu fazy play-off, nie otrzymał nawet spotkania w 1/16 czy 1/8 finału. To skandal?

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Szymon Marciniak spędził za oceanem aż siedem tygodni, za wiele pracy na mundialu jednak nie miał

Absolutnie to jest skandal! Podobnie potraktowali Włocha Marianiego, jest trochę słabszym sędzią od Szymona, ale po fazie zasadniczej też nie dostał już żadnego meczu. Uważam, że to nie była tylko decyzja Colliny. Ale przypominam sobie mój finał mistrzostw świata w 1990 roku. Tamtą decyzję zawdzięczam w dużym stopniu ówczesnemu prezydentowi FIFA Seppowi Blatterowi, który chciał zrobić ukłon w kierunku naszego papieża Jana Pawła II. Po audiencji u papieża powiedział, że Karol Wojtyła przekazał mu wtedy, że będzie się modlił za moje powodzenie na mundialu. A dziś takim „papieżem" jest prezydent USA Trump, więc tak jak Blatter kiedyś papieżowi, tak dziś Infantino Trumpowi i tak dalej.

Kompletnie niezrozumiała decyzja?

Szymon pojechał na siedem tygodni za ocean, sędziował dwa mecze, a potem nic! Szef sędziów FIFA Collina postąpił tak, jak gdyby grać w karty, mieć dwa asy, a na końcu zagrać waletem. Może nie lubi łysych i uważa, że jest jedynym wybitnym łysym sędzią? Kiedyś tak samo potraktował Howarda Webba. Też dał mu dwa mecze, a potem też trzymał go do końca i już nie obsadził. Może nie chce, aby ktoś przebił go w sławie sędziowskiej. To był wybitny arbiter, ale też nie ustrzegał się błędów. Finał igrzysk olimpijskich w Atlancie sędziował bardzo źle, ale każdy się myli.

Marciniakowi zaszkodziło to, że w spotkaniu Argentyna - Algieria nie pokazał żółtej kartki Messiemu, co wywołało sporo kontrowersji?

To jest bezprzedmiotowe, ponieważ takich fauli, nawet groźniejszych, było kilkanaście na tym turnieju, choć rzeczywiście Szymon moim zdaniem powinien wtedy pokazać żółtą kartkę, a przynajmniej wezwać do siebie Messiego. Wtedy wyszedłby z tego z twarzą. Ale na pewno nie to wpłynęło na decyzję o nieprzyznaniu mu finału.

Co zatem zadecydowało?

Może jakaś geopolityka. To może mieć drugie dno. Wiadomo, że UEFA w tej chwili bardzo mocno krytykuje FIFA po decyzji o zawieszeniu czerwonej kartki dla Amerykanina Folarina Baloguna. W FIF-ie wielkimi krokami zbliżają się wybory, więc może chciano w ten sposób udobruchać szefa UEFA, Słoweńca Aleksandra Ceferina, czyli rodaka Slavko Vincicia.

PIŁKA NOŻNA

To był szalony mundial. Tanio nie było, ale emocji nie kupisz za żadne pieniądze

Adam Godlewski

Tegoroczny mundial w Ameryce Północnej był długi i wyczerpujący. Nie tylko dla piłkarzy, ale również kibiców - szczególnie tych z innych stref czasowych. Generalnie jednak FIFA może ogłosić sukces, bo impreza okazała się udana.

Powiększony do 48 uczestników turniej był skrojony pod napastników. Przy tylu rywalizujących zespołach trudno było uniknąć różnicy poziomów, z góry można było więc zakładać, że bramki będą padać częściej niż na poprzednich mundialach. I padały - w sumie ponad 300 - co dało fantastyczną średnią około 3 goli na mecz.

Amerykańscy kibice soccera, może nie nazbyt wytrawni, za to rozpieszczeni przez inne dyscypliny, w których intensywność rozgrywki jest większa niż w naszym futbolu, nie mieli więc na co narzekać. Podczas spotkań działo się naprawdę dużo, a kwintesencją tych finałów był mecz o 3. miejsce, w którym padło aż 10 goli.

Dramaturgia widowiska w starciu Anglików z Francuzami była niepowtarzalna. Niezależnie od zaawansowania fani docenili pogoń „Trójkolorowych" od stanu 0:4 do 3:4.

Publiczności taka strzelanina i zmienność akcji na pewno się podobała. W końcu za to ta rekordowa w dziejach widownia na stadionach zapłaciła.

Eksperci byli już jednak podzieleni, bo określana mianem kosmicznej rywalizacja miała też wiele mankamentów. Podopieczni żegnającego się z posadą we Francuskiej Federacji Futbolowej Didiera Deschampsa mentalnie nie dojechali na pierwszą połowę, w drugiej - pomimo zdobycia aż 4 goli - razili nieskutecznością.

Z kolei niemiecki szkoleniowiec Anglików Thomas Tuchel znów - podobnie jak w półfinale - nie potrafił zarządzać meczem, w którym jego zespół był na prowadzeniu. No i oba zespoły zademonstrowały mocno podwórkową jakość w defensywie.

Jak szalony był to mundial, najlepiej świadczy fakt, że 10 goli, które wbił Kylian Mbappe, nie wystarczyło Francuzom do zdobycia medalu. A przecież napastnik Realu Madryt (dorzucił jeszcze 4 asysty) nie był osamotniony w ofensywie - Ousmane Dembele dołożył 6 bramek (i dwa ostatnie podania), natomiast Michael Olise zapisał na swym koncie 7 asyst.

Zabrakło jednak właściwego balansu w zespole, defensorzy nie udźwignęli ciężaru meczów z Hiszpanią i Anglią, w efekcie trener DD nieoczekiwanie pożegnał się z zespołem dwiema porażkami. Po bogatej w sukcesy - z tytułem mistrza świata na czele - trwającej 14 lat selekcjonerskiej kadencji.

Miały to również być mistrzostwa starszych panów. Dzięki rozwojowi medycyny, profesjonalnemu prowadzeniu się i odżywianiu piłkarze grają znacznie dłużej niż w poprzednim stuleciu.

Cristiano Ronaldo, Manuel Neuer, Fernando Muslera, Guillermo Ochoa, Vozinha, Eloy Room, Leo Messi czy Marko Arnautovic - to w komplecie mężczyźni w średnim już wieku, którzy podczas mundialu postanowili oszukać PESEL.

Oczywiście, większość z wymienionych to bramkarze, ale nie tylko Lionel Messi, ale również Ronaldo i Arnautovic zdobywali gole na tym mundialu, co dobitnie pokazuje, że futbol przebija inne dyscypliny zespołowe nie tylko dlatego, iż miejsce na boisku może znaleźć praktycznie każdy - bez względu na wzrost czy generalnie warunki fizyczne - ale też wcale nie trzeba kończyć w tym sporcie gry na najwyższym światowym poziomie chwilę po trzydziestce.

Zatem wszelkie niepokojące wiadomości można spokojnie odłożyć na bok. Nie dość, że ludzie - nawet w Ameryce, gdzie w cenie jest przede wszystkim hokej na lodzie, futbol amerykański, bejsbol czy koszykówka - walą na stadiony i wypełniają je do ostatniego miejsca (i to mimo naprawdę słonych cen), to jeszcze jest czas i przestrzeń, aby przyzwyczaić się do gwiazd.

No, może tylko trochę szkoda, że zakończony turniej o mistrzostwo świata nie wypromował zupełnie nowych gwiazd, ale przecież nie można mieć wszystkiego...

eprasa.pl 5a679bdc79

PIŁKA NOŻNA

FOT. EPA/PAP

Jude Bellingham przypieczętował golem na 6:4 strzelaninę w Miami w meczu o 3. miejsce na mistrzostwach świata pomiędzy Anglią a Francją. Hat-trickiem popisał się Bukayo Saka, a „Trzy Lwy" gromiły do przerwy „Les Bleus" 4:0. Francuzi uniknęli blamażu dzięki przebudzeniu Kyliana Mbappe, który zaliczył dublet i zakończył mundial z 10 golami na koncie

„Trzy Lwy" zapewniły sobie pierwszy od 60 lat medal mistrzostw świata na pożegnanie selekcjonera „Les Bleus" Didiera Deschampsa po hat-tricku Saki i dublecie Mbappe, zakończonym kosmicznym 6:4

Szalona strzelanina w Miami w meczu o trzecie miejsce MŚ pomiędzy Francją i Anglią

Jacek Kmiecik

Szalony mecz, 10 goli i pobite rekordy. Co było powodem? Miami z szerokimi plażami i perspektywa wakacji? A może chęć zafundowania Didierowi Deschampsowi pokazu fajerwerków w jego ostatnim meczu jako selekcjonera kadry Francji?

Przez kilka dni jedyni francuscy piłkarze, którzy odważyli się wystąpić przed mediami, mieli tylko jeden cel: zakończyć sezon z wysoką notą i przynieść zwycięstwo trenerowi w jego ostatnim meczu. Nie udało im się. To była kwestia „obowiązku", „znak uznania", „hołd dla francuskich kibiców". Słaba wymówka, biorąc pod uwagę pierwszą połowę.

Po lekcji gry w piłkę, którą odebrał we wtorek w Dallas z Hiszpanami, Didier Deschamps zdecydował się na siedem zmian w wyjściowym składzie. Zawodnicy, których początkowo wybrał, nie uzasadniali jego decyzji. Co gorsza, stali się prawdziwą hańbą.

Przez 45. minut francuska drużyna wyglądała na zdezorganizowaną, apatyczną, powolną i sparaliżowaną. Anglia bez Harry'ego Kane'a i Jude'a Bellinghama – dwóch najlepszych zawodników na ławce rezerwowych – zafundowała Francuzom lodowaty prysznic. Do tego stopnia, że upokorzyła kompletnie nieudaną francuską drużynę, niegodną noszenia tej koszulki.

Deschamps był zrozpaczony. Jego decyzje zostały przyćmione przez obojętność zawodników. Słynni „źli chłopcy" (taki przydomek nadali sobie reprezentanci Francji) zamienili się w bezradnych chłopców we mgle, wzbudzających raczej śmiech czy politowanie, a nie strach przeciwników.

W obliczu katastrofy wkrótce były już trener Francuzów nie miał innego wyjścia, jak tylko podjąć drastyczne kroki. Cztery zmiany w przerwie pozwoliły „Les Bleus" wrócić do formy.

Kylian Mbappe i Michael Olise rozpalili atmosferę i zapisali się w historii. Mbappe ustrzelił dublet i zakończył mundial 2026 z 10 bramkami, a także wyśrubował strzelecki rekord w historii mistrzostw świata do 22 goli. Dwie asysty Olise przy trafieniach „Kikiego" pozwoliły mu pobić wynik legendarnego „Króla futbolu", Brazylijczyka Pelego, z mistrzostw świata w Meksyku 1970.

To, co miało być hołdem dla Deschampsa po 14 latach pracy na stanowisku trenera, okazało się jednym z najbardziej szalonych w całej jego karierze. Trener „Galicyjskich Kogutów" mógł zostać pierwszym trenerem od 28 lat, który wygrał swój ostatni mecz pod wodzą „Les Bleus". W swoim 185. i ostatnim meczu w roli selekcjonera reprezentacji Francji był jednak świadkiem najgorszej pierwszej połowy w swojej karierze. Jego drużyna próbowała się odgryźć, ale nie zdołała odwrócić losów meczu. Ostatecznie przegrała z Anglią podobnie jak z Polską w Espana 1982, gdzie „Les Bleus" zajęli czwarte miejsce, ale ich występ w drugiej połowie przynajmniej uchronił ich przed upokorzeniem.

Niemiecki selekcjoner Anglików Thomas Tuchel, ostro skrytykowany za zmiany i taktykę po przegranym półfinale z Argentyną (1:2), obiecał odpowiedź, ale nie wiedział, jak zareaguje jego drużyna. Tym bardziej że przed sobotnim meczem twierdził, iż nikt nie chciał grać w tym meczu.

Tuchel zdecydował się na dokonanie siedmiu zmian, w tym pominięcie Kane'a i Bellinghama. W wyjściowym składzie znalazł się natomiast Bukayo Saka, który borykał się z problemami zdrowotnymi przez cały turniej.

Jego imponujący występ w Miami skłania do pytania, dlaczego nie był rezerwowym w półfinale. Ostatecznie Saka został pierwszym angielskim piłkarzem, który zdobył hat-tricka w fazie pucharowej mistrzostw świata od czasu sir Geoffa Hursta w finale w 1966 roku.

Choć Tuchel zdecydował się na zmiany w obronie przeciwko Argentyńczykom, tym razem nic takiego nie miało miejsca, choć mecz toczył się w znacznie mniej napiętej atmosferze.

Ostatecznie „Trzy Lwy" wygrały jeden z najdziwniejszych, a zarazem najbardziej emocjonujących meczów, jakie kiedykolwiek rozegrali w ramach ważnego turnieju, i po 60 latach od mistrzostwa świata, po które sięgnęli w 1966 roku na swojej ziemi, w końcu zdobyli medal (brązowy) w czempionacie globu.

MECZ O 3. MIEJSCE MŚ 2026

Francja - Anglia 4:6 (0:4).
Bramki: Mbappe 48, 66, Barcola 54, Dembele 90+6 - Rice 3, Konsa 18 (głową), Saka 37, 45+1, 87 (karny), Bellingham 90+8.
Francja: Mike Maignan - Malo Gusto (90+1 Jules Kounde), Ibrahima Konate (46 Dayot Upamecano), Maxence Lacroix, Theo Hernandez (46 Lucas Digne) - Michael Olise, Adrien Rabiot, Warren Zaire-Emery, Rayan Cherki (46 Ousmane Dembele), Desire Doue (46 Bradley Barcola) - Kylian Mbappe.
Anglia: Dean Henderson - Jarell Quansah (83 Reece James), Ezri Konsa, Marc Guehi (90+3 Trevoh Chalobah), Djed Spence - Bukayo Saka, Declan Rice, Eberechi Eze (79 Jude Bellingham), Morgan Rogers, Marcus Rashford (46 Ollie Watkins) - Ivan Toney (79 Elliot Anderson).
Sędzia: Jesus Valenzuela (Wenezuela). **Widzów:** 64 478.

eprasa.pl 5a679bdc79

KOLARSTWO

Tadej Pogacar pewnie zmierza po wygraną w Tour de France

Zbigniew Czyż

Tadej Pogacar coraz bliżej końcowego triumfu w tegorocznej edycji Tour de France. Słoweniec swojego najgroźniejszego rywala wyprzedza już o cztery i pół minuty.

Podczas 14. etapu z Miluzy do Le Markstein kolarze mieli do przejechania trasę przez Wogezy o długości 155,3 km. Tuż przed metą pierwszy raz w historii wyścigu pokonywali premię górską I kategorii Col du Haag (1233 m n.p.m.). To na tym podjeździe samotnie zaatakował Pogacar i wypracował sobie ok. 30 sekund przewagi nad najgroźniejszymi rywalami, którą jeszcze powiększył na ostatnim 5-kilometrowym płaskim odcinku.

Słoweniec (UAE Team Emirates-XRG) odniósł czwarte zwycięstwo w tegorocznym wyścigu i 25. w historii swoich startów w Wielkiej Pętli (od 2020 roku). Wyprzedził na mecie o 38 sekund kolegę z ekipy UAE Team Emirates - Meksykanina Isaaca del Toro i Francuza Paula Seixasa (Decathlon CMA CGM Team). Słabo zaprezentowali się Polacy. Michał Kwiatkowski (Netcompany INEOS) przyjechał na metę na 86. pozycji ze stratą 34.37 do zwycięzcy, a Kamil Gradek (Bahrain Victorious) zajął 151. pozycję - 37.51. Obaj zajmują odległe lokaty w klasyfikacji generalnej.

Liderem jest Pogacar, który wyprzedza Duńczyka Jonasa Vingegaarda o 4.30 min oraz Belga Remco Evenepoela (Red Bull-Bora-hansgrohe) o 5.04. Słoweniec liderujе też klasyfikacji górskiej.

27-letni Pogacar walczy o piąty triumf w Wielkiej Pętli, czyli wyrównanie rekordu Francuzów Jacques'a Anquetila i Bernarda Hinaulta oraz Belga Eddy'ego Merckxa i Hiszpana Miguela Induraina. Tegoroczny Tour de France zakończy się 26 lipca finiszem na Polach Elizejskich w Paryżu.

FOT. PAP

Pogacar blisko wygranej w Wielkiej Pętli

SIATKÓWKA

Bierzemy wszystko, co jest do wzięcia

„Czego Kuba się nie nauczy, tego Jakub nie będzie umiał" – polska idea

Paweł Wiśniewski

Reprezentacja Polski siatkarzy jest już pewna udziału w turnieju finałowym Ligi Narodów, który odbędzie się w dniach 29 lipca – 2 sierpnia, w chińskim Ningbo. Nasza ekipa broni złotego medalu.

Do wielkiego finału, którego gospodarzem – drugi rok z rzędu – będzie hala „Beilun Gymnasium" w Ningbo, kolebce chińskiego wydania „Romea i Julii", awansuje siedem najwyżej sklasyfikowanych zespołów po fazie grupowej, a także ekipa gospodarzy.

Przed ostatnim turniejem fazy grupowej „2026 FIVB Men's Volleyball Nations League" trener reprezentacji Polski Nikola Grbić zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne są zawody z Chicago w kontekście dalszych przygotowań do najważniejszej imprezy sezonu, czyli wrześniowych mistrzostw Europy.

Przypomnijmy, że Biało-Czerwoni bronią tytułu i będą mieli pierwszą okazję na wywalczenie przepustki na Igrzyska XXXIV Olimpiady, które w 2028 roku zorganizuje Los Angeles.

Najwyraźniej śladami starszych kolegów chce podążać nasza młodzież. Otóż po efektownym zwycięstwie z Francją 3:1 (22:25, 25:23, 28:26, 25:21) polscy siatkarze zostali mistrzami Europy do lat 18!

W gronie wyróżnionych zawodników turnieju we Włoszech znalazło się trzech Polaków: najlepszym rozgrywającym został Jakub Przybyłkowicz, atakującym Adam Potempa, a środkowym Marcel Biernikowicz.

Najbardziej wartościowym graczem (MVP) został 17-letni Przybyłkowicz.

FOT. EAST NEWS

Polska siatkówka mierzy naprawdę coraz wyżej. Już nie tylko pierwsza reprezentacja, ale i młodsze roczniki...

PATRONAT NASZEMIASTO.PL 0011554940

eprasa.pl 5a679bdc79

S24 sportowy24.pl

sport

FRANCJA ROZCZAROWANA

10 goli Kyliana Mbappe i 7 asyst Michaela Olise nie wystarczyło do medalu
str. 22

MICHAŁ LISTKIEWICZ GANI

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Szymon Marciniak pokrzywdzony przez FIFA. Skandaliczne decyzje ws. sędziowania
str. 21

PODSUMOWANIE MUNDIALU

W sumie zobaczyliśmy ponad 300 goli, co dało fantastyczną średnią około 3 goli na mecz!
str. 20

W tak zwanym małym finale „Trzy Lwy" pokonały „Les Bleus" 6:4 i zdobyły swój pierwszy od 60 lat i drugi w dziejach mundiali medal

FOT. EPA/PAP

Anglicy z brązowymi medalami po szalonym meczu o 3. miejsce mistrzostw świata z Francją, który przejdzie do historii jako strzelanina w Miami
str. 22

eprasa.pl 5a679bdc79